Z rodzinnego albumu. Najdłuższe wakacje.

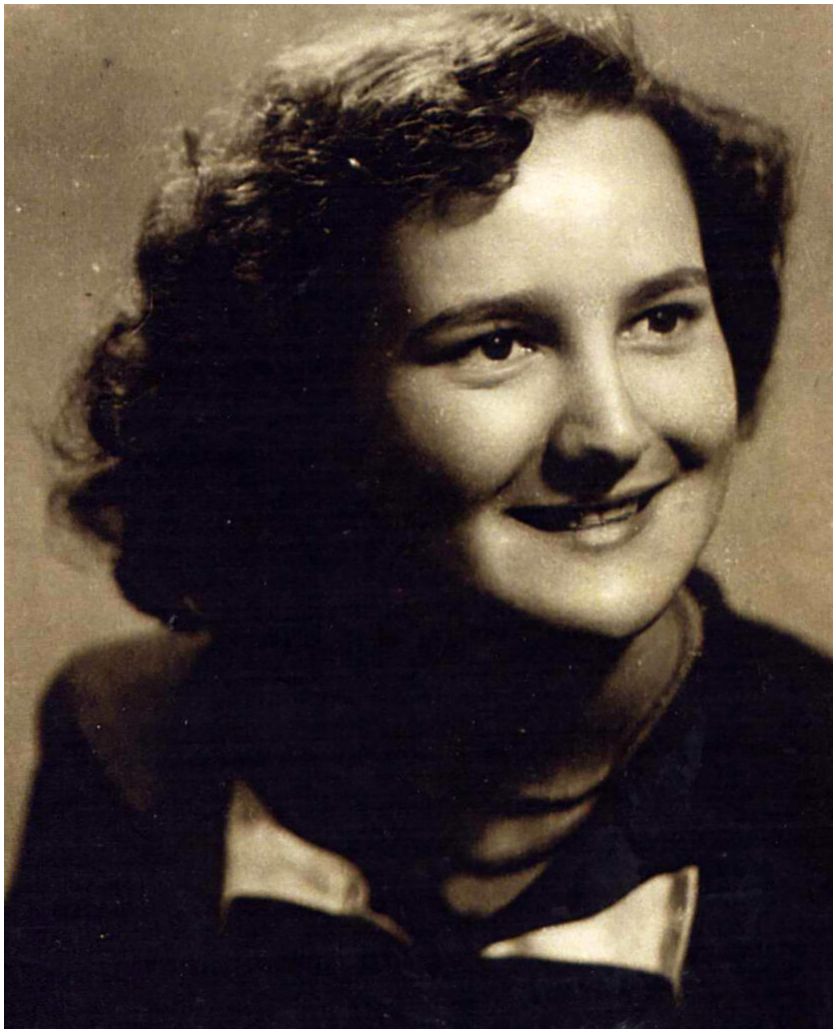

Teresa Fabijańska, maturzystka, 1951 r., fot. arch. autorki

Teresa Fabijańska-Żurawska *(Łańcut)*

Spoglądam wstecz z perspektywy pięćdziesięciu pięciu już lat na ostatni rok szkoły średniej ogólnokształcącej i okres ten jawi mi się ponuro. Im bliżej matury, tym gorzej. Pierwsze dwa lata były normalne: pierwsza i druga klasa gimnazjalna z programem opartym na przedwojennym. W trzecim roku znalazłam się nagle w klasie dziewiątej, bo właśnie wprowadzono zreformowaną po sowiecku jedenastolatkę. Żeby rachunek się zgadzał, mój rocznik repetował drugą klasę, młodsze koleżanki tymczasem nas dopędziły. W rezultacie ja uczyłam się 12 lat łącznie ze szkołą podstawową, a roczniki młodsze tylko 10. Wszystko było postawione na głowie. Historię zaczynałyśmy trzy razy od Piastów i nigdy nie dojechałyśmy do rozbiorów. Historyczka była z przypadku lub po linii partii, bo ograniczała się do dyktowania nam konspektu narzuconego przez kuratorium czy ministerstwo. To były same hasła w telegraficznym skrócie brzmiące dla nas podobnie, jak zaklęcia. Jakże zazdrościłam bratu Juliuszowi, który miał szczęście być uczniem prof. Michała Pieszki, wspominanego już przeze mnie wcześniej, znakomitego pedagoga i znawcy pasjonującej historii i geografii. On uczył chłopców bez podręczników, ale za to jak!

Szkoła średnia to taki okres w życiu młodego człowieka kiedy chłonie się to, co podane w sposób atrakcyjny i odrzuca wszelkie nudy, choćby najmądrzejsze. Dużo zależy od pedagoga – porwie, zapali do przedmiotu, czy zohydzi. Ja musiałam później uczyć się historii sama. Zresztą uczę się jej z pasją po dzień dzisiejszy.

Dwa tygodnie przed maturą wyznaczono nam obowiązkowy egzamin z pięciu przedmiotów tzw. Wszechnicy Radiowej. Kto miał czas tego słuchać? – Audycje nadawane przez kołchoźniki – czyli głośniki radiowe, były nudnymi, suchymi wykładami o kierunku ideologii marksistowskiej, z przekręconymi faktami i zafałszowaną interpretacją, a do tego nadawano je w godzinach, gdy normalni ludzie jeszcze śpią. Do każdego przedmiotu były skrypty, których nie dało się czytać. Papier gorszy od ówczesnego gazetowego, szaro-brudny i nieczytelne odbitki z powielaczy denaturatowych. W dodatku na wagę złota. Zbierałyśmy się więc grupkami w prywatnych domach. U Alisi (Alicji) Treflerówny, gdzie w kwietniu było pioruńsko zimno, u Heli Zawrotniak – strasznie daleko, u Heni Walewskiej lub u Lalki (Ireny) Szomańskiej, gdzie było najmilej. Zawsze gościnny dom z nianią, coś smacznego i kochająca mama. Pewnie uczyłyśmy się i u mnie, ale jakoś tego nie pamiętam. Sześć zaprzyjaźnionych maturzystek. Po tym niewątpliwym stresie, przygotowywałyśmy się już inaczej i do innych przedmiotów bardzo intensywnie, bo czas nam się skrócił.

Do lęku o wiedzę w głowie doszedł strach przed „czynnikiem społecznym”, czyli osobą spoza szkoły, która zasiadała w komisji z ramienia partii politycznej, oceniała uczennicę i miała prawo zadawać pytania z ideologii marksistowskiej – komunistycznej. Małe potknięcie dyskwalifikowało maturzystkę. Pamiętam swój egzamin, podczas którego byłam tak spięta, że mój mózg przestał

myśleć. Na pytanie zadane przez bardzo swobodnego zetempowsca (organizacja młodzieży komunistycznej – ZMP – Związek Młodzieży Polskiej) „czy społeczeństwo ZSRR jest klasowe?" – odpowiedziałam gorąco – skądże!" I otrzymałam długie pouczenie, którego esencję zrozumiałam, że na tym etapie jeszcze jest podział klasowy, ale w przyszłości… Nie umiałam wyobrazić sobie tej przyszłości. Wszak uczono nas o możliwości odwrócenia biegu rzek syberyjskich (ciekawe, że ta bzdura przetrwała aż do Putina, który ogłosił oficjalnie odstąpienie od tego planu). Głoszono nam oczywiście zwycięstwo człowieka radzieckiego nad Ziemią i Kosmosem. Mnóstwo innych rzeczy niemożliwych. Co jednak można zrobić z mózgiem młodego, rozwijającego się człowieka. Tylu uwierzyło i służyło!

***

Do szkolnego okresu w Zamościu muszę dodać coś, czego nie da się zapomnieć. Były to roboty „kołchozowe" zamiast lekcji. Kilka dniówek w roku w porze jesiennej. Wożono nas, dziewczęta otwartymi przyczepami za traktorem lub ciężarówkami do kartofli czy buraków. Państwowe Gospodarstwo Rolne w Jarosławcu odległym o 15 km od Zamościa na wschód, miało wyjątkowo trudne warunki i ciężkie prace np. obdzieranie buraków z liści rękoma w szczerym polu przez 8 godzin z przerwą na posiłek. Łatwiej już wyłuskiwało się kaczany kukurydzy, a najtrudniejsze było zbieranie z pola ziemniaków za koparką. Ziemia tam ciężka,

błotnista, przyczepna. Zawsze wypadła listopadowa aura, której błotne skutki dawało się pokonać tylko w specjalnych gumiakach i w spodniach. Takiej odzieży nie miałyśmy, więc marzłyśmy okropnie. Niszczyłyśmy i tak z trudem zdobyte buty. W nagrodę czekał nas w robotniczej stołówce gorący posiłek – gęsta zupa grochowa z różnymi dodatkami (wsadem mięsnym!) i z chlebem do woli. Nigdy w życiu takiego apetytu nie miałam, a smak wybornej grochówki na wędzonce do dzisiaj pamiętam.

Poznając trud pracy robotnika i chłopa lekko przenosiłyśmy się w świat artystyczny biorąc udział w szkolnych przedstawieniach na scenie „Stylowego" i w auli gimnazjum męskiego.

„Stylowy" to wspaniały gmach dawnego kościoła i klasztoru oo. franciszkanów z poł. XVII w., który przetrwał do 1817 r. mimo kasacji zakonu przez zaborcze władze Austrii, po czym został przeznaczony na magazyn wojskowy z tym, że zabudowania klasztorne i piękną, osiemnastowieczną dzwonnicę rozebrano. Sam kościół przerobiono na koszary. Za wolnej Polski w 1918 r. pomieszczono w tym gmachu Sejmik Powiatowy i Dom Ludowy Polskiej Macierzy Szkolnej. Wnętrze środkowe – nawę kościoła adaptowano na kino-teatr. Tutaj też przed wojną znajdowało się pierwsze, małe muzeum regionalne, po wojnie Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych w części zachodniej, a sala duża, przestronna z kuluarami, sceną i obubocznym *foyer* służyła społeczeństwu miasta na wszystkie imprezy kulturalne. Tak było

do lat dziewięćdziesiątych, gdy o gmach upomnieli się bezprawnie usunięci oo. franciszkanie i go odzyskali. Dzisiaj jest tam kościół. Dla mnie był to szok. Raz byłam tam wewnątrz i nie mogłam się modlić. Przypomniała mi się pantomima J. Bayera „Wieszczka lalek" i „Laleczka z saskiej porcelany" Anny Dąbrowskiej reżyserowane przez p. Reginę Cieślakową. A w tytułowej roli Danusia Kuraho-Skraho, utalentowana wokalnie i choreograficznie, miękka jak guma i zręczna, jak primabalerina. Byłam markizą w różowej krynolinie i jasnej peruce (ja, czarna z natury) z francuskimi loczkami, zupełnie odmieniona. Tańczyłyśmy gawota i menueta w cztery pary, same dziewczęta. Moim chłopcem była Lalka (Irena) Szomańska nieco wyższa i smukła. „Ach, co za gracja, jaki wdzięk!" – śpiewał chór. „Kaida z nich inna tuualetta, parole d'honeur, to jak we śnie…".

Normalnie „Stylowy" był kinem i chodziło się na wszystkie ciekawsze filmy oraz na obowiązkowe koncerty „Artosu" w ramach wychowania muzycznego. Pamiętam, kiedyś wyświetlano „Halkę" wg. Moniuszki i film ten był dozwolony od lat 18-tu. Żeby kupić bilety trzeba było okazać legitymację, kasa młodszym nie sprzedawała. Podrobiłyśmy więc legitymacje, na szczęście ważność ich już się kończyła. Nie wolno nam było chodzić na ostatni seans o 20-ej. Spotkana na ulicy młodzież mogła być legitymowana, a konsekwencje wynikające z odebrania legitymacji i oddania jej do Dyrekcji szkoły nie rokowały niczego miłego. Dzisiaj wydaje się to policyjnym rygorem, jednak nie było

nam z tym źle, a ileż bezpieczniej. Szkoda, że zostało to zniweczone ułudą źle pojętego słowa „wolność”, „luz”. Zdeprawowano młodzież, dobre zamieniając złem.

Dwie maturzystki, Teresa Fabijańska (z lewej) z Lalką (Ireną) Szomańską w parku w Zamościu, 1951 r., fot. arch. autorki
***

Do szkoły chodziłam pieszo ok. 2 km w jedną stronę, ale ja tę drogę pokonywałam dwa lub trzy razy dziennie: na 8-mą, zawsze jednakowo, na lekcje i powrót ok.14-ej do 15-ej na obiad zawsze rodzinny, zawsze przygotowany przez kochającą mamę i spożywany bez pośpiechu, w dobrej atmosferze przyjacielskiej rozmowy z rodzicami. Potem biegłam na popołudniowe zbiórki harcerskie, próby przedstawień lub zebrania Koła Zainteresowań, które ktoś mądrze wymyślił dla rozwoju intelektualnego bardziej indywidualnego, świetne *antidotum* na coraz brutalniej i wszechobecnie ingerującą w życie szkoły i poszczególnych uczennic politykę. Koła te miały różny profil, ale zdecydowanie dominował kierunek humanistyczny. Należałam do Koła Filozofów. Pierwszy referat, jaki sama wymyśliłam i napisałam, nosił tytuł „Duch grupy" – bardzo interesujące pojęcie *stricte* filozoficzne. Nieco później założyłam Koło Miłośników Słowackiego dla przeciwwagi założonemu w liceum męskim Kołu Miłośników Mickiewicza. Rozpoczęła się szlachetna rywalizacja, bo poprzez wiedzę wyczytaną i napisaną udowadnialiśmy, który z wieszczów był większy dla narodu polskiego. W ruch poszły opracowania prof. Kleinera, Chrzanowskiego i świeżo wydanego Jastruna. Długie cytaty z dzieł obu poetów służyły do podtrzymania stanowiska. Myślę, że wiele nam to dało,

poszerzyło horyzonty. Wszystkie dzieła Juliusza Słowackiego były w domu, uratowane przez Witka przed spaleniem na stosie w Hrubieszowie na początku wojny. Tak Niemcy niszczyli polską kulturę. Cała Miejska Biblioteka poszła na stos.

Gdy przyszedł maj i czerwiec biegałam jeszcze na wieczorne nabożeństwa do św. Katarzyny. Skąd brałam tyle energii? – nie było czasu na odpoczynek, polegiwanie z książką w ręku. Tę zawsze brałam, gdy kładłam się spać i po paru stronicach słodko zasypiałam. Przez to bieganie kilometrami za mało czytałam literatury pięknej. Ledwie nadążałam z lekturami, a że te były dobrane tendencyjnie, odrzucałam je już z góry uważając, że nie są warte mojego czasu. „Opowieść o prawdziwym człowieku", „Matka" Gorkiego, „Dziewczęta z Nowolipek", „Grypa szaleje w Naprawie" – prześlizgnęły się przez mój umysł, jak dopust Boży. Nic z nich, prócz tytułów, nie pamiętam. Jedyny dzień wolny w tygodniu to niedziela, którą zaczynałam mszą św. w kościele szkolnym, potem tradycyjny spacer ulicą Akademicką, spacer po parku z koleżankami, czasem i z kolegami. Pamiątkowe fotografowanie, dużo śmiechu, błyskotliwe, mądre rozmowy i powrót do domu na obiad. Po południu spotkania towarzyskie u koleżanek i wczesnym wieczorem byłam już w domu. Kiedy odrabiałam lekcje; nie pamiętam. A przecież dawałam korepetycje z języka polskiego i z francuskiego młodszym koleżankom. Nawet zdarzyła mi się nagroda od rodziców moich „uczennic" w postaci pieniędzy, słodyczy, czy kwiatów. Te

pieniądze były pierwszymi zarobionymi przeze mnie cierpliwością.

Matura jakoś przeszła. Pierwszy w życiu bal do świtu w upalny czerwiec 1951 r. pamiętam, jakby to było wczoraj. Miałam nową i najmodniejszą sukienkę z białej żorżety w drobne, czerwone kropki. Przedłużony, dopasowany karczek, wycięcie w *caro*, dół szeroki, marszczony na biodrach z wypuszczoną riuszką, małe bufki. Czułam się świetnie, bawiłam nieźle i o wschodzie słońca odprowadzana przez swojego „obtupywacza" Rucia – Henryka Jakubca, podziwiając zjawiskowe o tej porze dnia niebo, szłam ku nowej, wierzyłam, że świetlanej przyszłości.

***

Chciałam studiować geografię na lubelskim UMCS-ie (Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej). Wypełniłam papiery, oddałam do sekretariatu szkoły, skąd miały być przesłane na uniwersytet. Taka wtedy była procedura. Sądzę, że jednak nigdy nie ujrzały dziennego światła, a tym bardziej w Lublinie. Miałam przecież opinię „czarnej reakcji" i twierdzy nie do zdobycia. I to była prawda. Nawet nie próbowano mnie podchodzić, co czyniono z innymi koleżankami, które nie były zetempówkami. Nie byłam dla nich nic warta. Wiedziałam o tym, czułam to i postanowiłam iść na historię sztuki na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Była tam już Ela, moja siostra na polonistyce, właśnie

kończyła studia i był brat Julek na prawie. W ten sposób zagrałam na nosie Dance T., od której opinii składanej na piśmie zależał los nie jednej z nas. Wyobrażam sobie jaką opinię miałam ja, jej była przyjaciółka, z którą rozstała się z powodu politycznego. Nigdy nie zapomnę tego dramatu, jaki rozegrał się między nami w pewien zimowy dzień po feriach świątecznych, gdy zziębnięte na kość podpierałyśmy gorący, ogromny piec na korytarzu szkolnym, przeraźliwie ponurym, jakby zaplanowaną scenerią do naszej rozmowy. Danka właśnie wróciła z obozu ZMP z Lublina i z entuzjazmem, na jaki tylko ją było stać, opowiadała o wspaniałych ludziach – ideowcach komunistycznych, którzy przebudują świat na lepszy, bez religii, bez księży i kościołów, bo to jest „opium dla ludu". Życzyła mi, abym przejrzała na oczy i poszła w jej ślady. Ona chce jechać na studia do Moskwy i zostać wielkim człowiekiem. A ja płacząc, szlochając powiedziałam tylko jedno zdanie: Danka, to koniec naszej przyjaźni, nie będę z tobą siedzieć w jednej ławce ani jednej chwili dłużej. I tak się stało już na zawsze.

Co stało się z tą śliczną, hożą polską dziewczyną, niezwykle uzdolnioną? – A no zdała świetnie maturę, wyjechała do Moskwy. Studiowała chemię na Uniwersytecie Łomonosowa. Tam zakochała się w koledze, Rosjaninie i musiała się z nim rozstać, ponieważ Rosjanom nie wolno było żenić się z cudzoziemkami, a może tylko z Polkami. Tego nie wiem dokładnie. W każdym razie przeżyła dramat i rozczarowanie, bo chłopiec rozpłynął się jak

we mgle. Przeżyła wstrząs, gdy zmarł jej bóg Stalin. A co musiało się dziać w jej ideologicznym wnętrzu, gdy za chwilę okazało się, że to największy zbrodniarz w całym, komunistycznym molochu, jakim był wtedy ZSRR. Wyrzucono go z mauzoleum – przepięknego, modernistycznego, marmurowego grobowca Lenina, pod którym stały najdłuższe kolejki świata, by przez moment spojrzeć na oblicze tego, który świat przewrócił do góry nogami. Stalin został początkowo umieszczony obok Lenina i było dwóch bogów do oglądania, ale po odbrązowieniu pochowano go cichutko pod murem Kremla pod czarną, granitową płytą, na której napisano jedynie: Josip Wisarionowicz Stalin i lata życia. Tyle. I nie ma już tutaj ogonka chętnych do oddania czci. Lenin wiecznie żywy.

Co ta Danka musiała tam przeżyć, ona taka płonąca żagiew. Nigdy nie zazdrościłam jej sukcesów w szkole, chociaż trochę rywalizowałyśmy wcześniej, za czasów harcerskich, gdy była gorliwą katoliczką, żeby nie powiedzieć bigotką, i zapaloną harcerką. Wszak składałyśmy przyrzeczenie harcerskie na Boga i honor Ojczyzny. No, ale jeśli się zamienia Boga na bóstwo, to w środku chyba wali się wszystko. Współczuję jej .

Wspomnienia Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej ukazują się w ostatni czwartek miesiąca.

*

Poprzednie części wspomnień:

> Pierwsze lata po wojnie – Academia Zamoscensis

> Powrót ojca z niewoli

Zobacz też:

> Historia w karetach zaklęta

Pierwsze lata

po wojnie – Academia Zamoscensis

Teresa Fabijańska-Żurawska *(Łańcut)*

Po lewej gmach Academii Zamoscensis, w środku dzwonnica kolegiaty, obecnej katedry, fot. arch. autorki

Tym razem piszę o Zamościu i szkole okresu stalinowskiego. Tak wiele się zmieniło od tej pory, że myślę

o przekazaniu pokoleniu moich wnuków, jak wyglądała wtedy szkoła i jaką wychowawczą organizacją było harcerstwo w wydaniu przedwojennym. Ponieważ obecne szkoły średnie stały się zagrożeniem tak dla uczniów, jak i dla nauczycieli – uważam, że powrót do sprawdzonych metod wychowawczych mógłby pohamować głupią przemoc i wybryki z nudów. Zamieszczonych w moich wspomnieniach pieśni patriotycznych dzisiaj już nikt nie zna, widać zaniedbanie rozwoju duchowego, zanik wrażliwości na piękno przyrody, miłości do krajobrazu i zabytkowej architektury. Wydaje mi się, że prawdziwa, rzetelna wiedza historyczna mogą przynajmniej pomóc odciągnąć młodzież od wpływu tej zagubionej moralnie z prawej drogi. Myślę, że mówienie i uprzytamnianie jednak coś da.

Po powrocie z niewoli, ojciec zabrał nas do Zamościa, gdzie była już ciocia Janka, siostra ojca i babcia – Mateńka. Początkowo zmuszeni byliśmy zamieszkać w jednym z domów posesji ojca, ale nie w tym ukochanym. Dwa niewielkie pokoiki i zimno-wilgotna kuchnia z wejściom bezpośrednim ze dworu. Mama przestała się poruszać. Ostry ischias *(rwa kulszowa, przyp. red.)* tak biedną zaatakował, że nie mogła wstać z łóżka. Miała wtedy dopiero 46 lat. Ojciec chorować zaczął na wrzody (karbunkuł), które wysypywały się na karku, bardzo bolesne i usztywniające, paraliżujące wszelkie ruchy. Miał tyle samo lat, co mama. Oboje

bardzo cierpieli. Pracę dostał w PKO mieszczącym się w tzw. Centralce, czyli tam, gdzie przed wojną, ale pensja była tak mała, że nie mogliśmy się z niej utrzymać. Było głodno. Od września zaczęliśmy wszyscy chodzić do szkoły średniej. My z Elą do żeńskiego Liceum im. Marii Konopnickiej, bracia do Liceum im. hetmana Jana Zamoyskiego. Obie szkoły mieściły się wówczas w ogromnym, zabytkowym gmachu Academii Zamoscensis z bardzo dobrymi tradycjami.

Pierwsze powojenne Święta Bożego Narodzenia obchodziliśmy w ciasnocie z bardzo kłującą choinką z jałowca, która musiała stać na kufrze. Jedno spanie było na biurku taty wciśniętym w kąt, drugie na wyrku pod oknem. W drugim pokoju na zsuniętych łóżkach mieścili się rodzice ze mną i Elą, dopóki siostra nie wywalczyła sobie własnego pokoju w naszym domu.

Przyjmowaliśmy gości – serdecznych przyjaciół rodziców. A byli nimi ks. dziekan Zawisza, proboszcz kolegiaty zamojskiej i pani Irena Czaplicka, więzień Auschwitz. Państwo Czapliccy mieszkali przed wojną po sąsiedzku i zawsze zapraszali nas wszystkich. Dom podobny do naszego był na kształt dworu z dużymi pokojami, ładnie urządzonymi. Pamiętam wiszące na choince marcepany w różnych kształtach¸jak bombki¸ Podniesiono mnie wysoko i pozwolono wybrać coś, co mi się najbardziej podoba. Wskazałam na długą laskę w złotym opakowaniu. W środku były karmelki. Długo zjadałam ją po kawałku. Takie nieistotne

szczegóły pozostają w pamięci – nie wiadomo dlaczego. Pamiętam też pierwsze imieninowe prezenty od pani Czaplickiej. A tymi cieszyłam się ogromnie. Srebrny pierścionek z oczkiem w kolorze miodu nosiłam z dumą, podobnie, jak granatową wstążkę do moich warkoczyków.

Mama wyjechała na kurację do Buska Zdroju. Chodziliśmy wtedy na obiady do Caritasu, gdzie dawano jednodaniowe posiłki dla ubogich. Zaliczaliśmy się co takich. W domu jedliśmy na okrągło pęcak. Do dzisiaj nie mogę na niego patrzeć. Po ośmiu tygodniach leczenia, witaliśmy mamę stojącą na własnych nogach. Stał się cud, życie wróciło do normy. Poza tym obrodziły jabłonie, piekło się więc postną szarlotkę bez cukru i z szarej mąki, ale to i tak było wspaniale. Zupa owocowa zastąpiła znienawidzony pęcak. Najważniejsze było to, że wszyscy się uczyliśmy, a szkoły nasze miały znakomitych profesorów i oddanych pedagogów. Braci moich uczył znany i powszechnie lubiany prof. Michał Pieszko – historyk i geograf. „Cześć marszałkowi – krzyczeli chłopcy chórem – globus i pałka to symbole marszałka! Cześć, cześć, cześć!” I dopiero wtedy wolno było usiąść, bo trzeba dodać, że za moich czasów zawsze wstawało się na powitanie profesora dla okazania szacunku (o, gdzie te obyczaje?) oraz odmawiano modlitwę na początku pierwszej lekcji i na końcu ostatniej. Dodatkowo także na lekcjach religii. Drugim popularnym pedagogiem był prof. Miller, założyciel zamojskiego ZOO, które powiększone istnieje do

dzisiaj. Dyrektorem gimnazjum męskiego był wówczas prof. Michał Bojarczuk, a w naszym żeńskim pani Maria Kaczyńska, później pani Hanna Porębska.

Wybitnymi naszymi profesorkami były: pani Lucyna Kniaziowa wspaniała polonistka i uwielbiana wychowawczyni. Niesłychanie skromnie ubrana, przeważnie na granatowo. Miała ciemne włosy uczesane gładko w wałek pod spód ujęty w siatkę dla idealnego porządku. Jej szaro-niebieskie oczy przenikały na wylot dogłębnie każdą z nas, po prostu czytała w naszych głowach, sercach i duszach. Nie sposób było zapomnieć mądrości tych oczu. Była w nich prawość, czystość, uczciwość, powaga i dobroć zarazem. Lubiła młodzież i rozumiała ją. Dzisiaj, z perspektywy czasu podziwiam Jej takt i umiejętność przekazywania wartości literatury polskiej w okresie, gdy zacierano wszystko, co patriotyczne, wszak rozpoczął się już reżim stalinowski. Ile kosztowały ją zdrowia wizytacje o charakterze politycznym z tendencją, by nauczyciela lub szkołę skompromitować, jak bardzo denerwowała się o nas i za nas – wiedziałyśmy to po charakterystycznej, czerwonej plamie na szyi. Zdaje się, że nasza klasa nigdy nie zawiodła.

Drugą osobowością pedagogiczną była madame Maria Markuszewska, romanistka. Uczyła nas trudnej wymowy języka francuskiego z lusterkiem, co pomagało korygować układ ust. Bezlitośnie wyśmiewała nieudolne „siur”, „dziur”, „że ne se pa”,

„że ne we pa”. Sama znała język znakomicie. Była po Sorbonie i po wielu latach spędzonych we Francji. Dystyngowana dama, wyprostowana, lekko uśmiechnięta z buzią w ciup, uczesana starannie w koczek z tyłu i niezmiennie w granatowym „mundurku”. Była po prostu wzorowa! Uczyła nas przy każdej okazji dobrych manier i kultury na co dzień. Na lekcjach francuskiego wałkowałyśmy w kółko „Quand trois poules vont aux champs, la premiere va devant…” Zabawy szkolne w gronie własnym urozmaicone były małymi przedstawieniami kostiumowymi, trwały dla klas najmłodszych tylko do godziny 20-tej. Moją wychowawczynią na początku była pani Aurelia Pieszkowa, żona prof. Michała Pieszki. Uczyła nas robót ręcznych: szycia na maszynie, kroju i innych umiejętności kobiecych, które przydały się w życiu.

W szkole panowały wtedy obyczaje jak na przedwojennej pensji. Obowiązywał strój granatowy tj. spódniczka o dowolnym kroju i średniej długości oraz bluza, a na uroczystości biała z długimi rękawami bluzka. Do tego nosiło się granatowe berety. Były też w powszechnym zastosowaniu fartuszki czarny i granatowy: jedne o specjalnym kroju z plisowanymi falbankami (wzór przedwojenny) wkładane na coś w rodzaju mundurka; inne bardziej rozpowszechnione i praktyczne – to fartuchy z długimi rękawami, zapinane na mankiet, z przodu zapięcie na całej długości, paseczek w pasie i biały przyszywany kołnierzyk, zawsze świeżutki. Stroje te wymagały ciągłego prasowania i

prania kołnierzy, lecz mimo to, większość dziewcząt takie nosiła. Ja donaszałam po Eli przerobioną trochę spódniczkę i bluzę z białym kołnierzem. Byłam bardzo dumna z mojej nowej szkoły i nowych koleżanek. Tą z pierwszej ławki, tuż przed katedrą profesorską, została z wyboru Alisia (Alicja) Treflerówna. Trochę grubasińska, ale ładna szatynka miła i wesoła, która mnie zaakceptowała z miejsca. Podziwiałam jej dwa długie, lśniące warkocze, które zaplecione nad uszami spływały grubymi sznurami i kończyły się dyndającymi granatowymi kokardami w okolicach pasa. Alisia okazała się pilną, solidną, inteligentną dziewczynką i dobrą koleżanką.

Czasy najpierw wspaniałe, entuzjastyczne pozwalały nam na harcerstwo, zbiórki, ogniska, szkolne msze św. w kościele pod wezwaniem Św. Katarzyny, zaraz koło naszej budy. Pierwsze powojenne i jedyne na długie lata święto 3-go Maja obchodzone było z wielkim wzruszeniem i zaangażowaniem patriotycznym. Uczniowie wszystkich szkół oraz ludność z całego Zamościa zebrana na rynku starego miasta – przeżywaliśmy entuzjazm. Powiewały wtedy tylko biało-czerwone flagi, a jedna, zatknięta na szpicu wieży ratusza miejskiego prostowała się powiewem wiatru rozciągając w niebo całą swoją wielometrową długość, jakby wołała: „patrzcie, oto znów jestem. Zwyciężyłam!” Łzy napływały do oczu, zwłaszcza, że w oficjalnym przemówieniu wciąż słychać było powtarzane często słowa: SUWERENNA! NIEPODLEGŁA! WOLNA! Był to rok 1946. A podczas uroczystej

akademii w szkole Baśka Kowałko recytowała przepiękny wiersz I. Gałczyńskiego „Dwie flagi”, a w nim słowa przyprawiające o dreszcz w placach: „… i nigdy nie będziesz biała, nigdy nic będziesz czerwona, będziesz zawsze biało-czerwona, hej! biało-czerwona. Czerwona, jak puchar wina, biała,jak śnieżna lawina”. Jakże szybko zapomniano o rozmowie polskich flag.

Odzyskaliśmy zrujnowany dom w Zamościu, 1847 r., ja, tata i Julek Fabijańscy (Teresa, Józef, Juliusz), fot. arch. autorki

Naszą ostoją było harcerstwo – to z lat 1945-49, które nawiązywało do czasów przedwojennych i było oparte na

angielskim skautingu według założyciela i jego twórcy – Baden Powella. Uczyłyśmy się piosenek harcerskich zawsze żywych, w rytmie marsza, lirycznych, śpiewanych przy ogniskach i cudownych, nastrojowych, głębokich modlitw, które przenikały leśną ciszę na wieczornych apelach obozowych i schodziły do mruczanda kończącego się uściskiem splecionych na krzyż dłoni – symbolicznego gestu jedności.

> *O, Panie Boże, Ojcze nasz*
>
> *w opiece swej nas miej.*
>
> *Harcerskich serc Ty drgnienia znasz,*
>
> *Dopomóc zawsze chciej.*
>
> *Wszak Ciebie i Ojczyznę,*
>
> *Miłując chcemy żyć,*
>
> *Harcerskim prawom w życia dniach*
>
> *Wiernymi zawsze być.*

A jeszcze w Hrubieszowie nauczyłam się na zbiórkach chorału

Kornela Ujejskiego.

> *Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej,*
>
> *Do Ciebie Panie bije ten głos.*
>
> *Skarga to straszna, jęk to ostatni,*
>
> *Od takich modłów bieleje włos.*
>
> *
>
> *My już bez skargi nie znamy śpiewu.*
>
> *Wieniec cierniowy wrósł w naszą skroń.*
>
> *Wiecznie, jak pomnik Twojego gniewu*
>
> *Sterczy ku Tobie błagalna dłoń.*
>
> *
>
> *O, Panie, Panie, ze zgrozą świata*
>
> *Okrutne dzieje przyniósł nam czas.*

> *Syn zabił matkę, brat zabił brata,*
>
> *Mnóstwo Kainów jest pośród nas.*
>
> *
>
> *Ależ o Panie, oni niewinni*
>
> *Choć naszą przyszłość cofnęli wstecz.*
>
> *Inni szatani byli tam czynni*
>
> *O, rękę karaj, nie ślepy miecz.*

Piszę z pamięci zdumiona, że słowa te tkwią we mnie ponad sześćdziesiąt lat.

Poza pieśniami i wierszami uczono nas sprawności umysłowej, fizycznej, wielu umiejętności tzw. radzenia sobie w trudnych życiowych sytuacjach. Odwaga, prawość rzetelność, spostrzegawczość, solidność i solidarność – to cnoty, które wówczas były w najwyższej cenie. Jednym słowem – tamto harcerstwo było organizacją wychowawczą, patriotyczną, dającą wiedzę, wiele sprawności i umiejętności życiowych, ale również ogromną radość i wiele atrakcji. Uczyłyśmy się wiązać węzły,

musiałyśmy umieć tropić, odnajdywać drogę w lesie, nieść pomoc, w wypadkach. Później nawet skończyłam kurs sanitarny i zastałam druhną higienistką, co przydało się nie tylko w Żabczycach na Śląsku, na obozie w 1949 r. ale w ciągu całego życia.

Do niewątpliwych atrakcji należały kiermasze, na które przygotowywałyśmy same różne zabawki, bibeloty, serwetki, koszyczki itp. przedmioty własnej roboty, by po ich sprzedaży uzyskać pieniądze na organizację obozu letniego. Uwielbialiśmy wszyscy wieczorne ogniska na stadionie zamojskim, przygotowywane wspólnie z harcerzami z Liceum męskiego im. hetmana Jan Zamoyskiego. Pomyślane były jako widowiska pełne humoru i śpiewu przy płonącym, ogromnym ognisku. Przychodziło na nie całe społeczeństwo z miasta. W zimie „ogniska” odbywały się w pomieszczeniach szkolnych z kominkiem elektrycznym niby żarem.

Zdążyłam wziąć udział w dwóch obozach, które wspominam z sentymentem. Pierwszy odbył się na Pomorzu, w Damnicy koło Słupska, w przepięknych lasach Pomorza Środkowego. Do morza daleko i do jezioru Damno również, za to świerki imponującej struktury zaczynały swe gałęzie na ziemi, a strzelały w gorę piramidalnie na kilkanaście metrów. Cudo przyrody!

Wieziono nas, cały pociąg towarowy pełen harcerek i harcerzy z

Lubelszczyzny, przez trzy doby. Wagony były brudne, nasz po piachu, który sypał się w oczy, włosy i w jedzenie. Miałyśmy sienniki wypchane słomą, wkoło stały ławki, które strasznie nam przeszkadzały, bo w rezultacie nasze głowy musiały zostać pod nimi. Przy różnych manewrach na bocznicach i przy zmianie toru przewracały się na nas. Ale to jeszcze nic. Gdzieś w połowie drogi zaczął padać deszcz. Wagon zaczął przeciekać. Strużki wody ściekały pod nasze sienniki. Wieziona w workach mąka, kasza i cukier zamokły, a my brudne, głodne, zmęczone, ale szczęśliwe dojechałyśmy na miejsce.

Same stawiałyśmy ogromne namioty na sześć osób. Budowałyśmy z otrzymanych od leśników tarcic prycze i półki pod plecaki. Prycza okazała się za krótka, a rezultatem tego był ból *w* kolanach i jęki przy porannej gimnastyce.

Nasza drużyna druhny Krysi Łenykówny miała trzy namioty ustawiono dośrodkowo. Pośrodku placyku stanął maszt z wciąganą i ściąganą codziennie podczas apeli flagą. Życie obozowe zaczynało się o 7-mej gimnastyką-torturą, a potem według wyznaczonego porządku. Obok namiotów mistrzynie zbudowały ceglaną kuchnię i zadaszenie na słupkach. Stoły i ławy naszej jadalni pod chmurką oraz latryna w głębi lasu też były wykonane przez nasze koleżanki. Piszę to wszystko dlatego bo już po nas obozy organizowano w oparciu o szkoły, ze spaniem w salach, kuchnią wiejską i kucharkami – mamami. Nie

jestem pewna czy tym dziewczętom harcerstwo pomogło w życiu.

Kilka godzin przedpołudniowych wypełniała praca, fizyczna, nazywana „służbą Polsce”. Nasza drużyna miała zadanie wyjątkowo trudne polegające na plewieniu z jeżyn obszaru młodych sadzonek. Kolce jeżyn wchodziły głęboko w dłonie i dawały później odczyny zapalne z ropą. Nie miałyśmy do tej pracy ani narzędzi ani ochronnych rękawic. Wolałam więc na ochotnika zgłaszać się do pracy zaopatrzeniowca. Obie z Lalką (Ireną) Szomańską wędrowałyśmy ok. 2 km, a może więcej do pobliskiej wsi po chleb i do specjalnego magazynu, gdzie dawano nam skondensowane wojskowe amerykańskie mleko w puszkach. Jedną puszkę półlitrową chyba, konfiskowałyśmy dla siebie „za trud”. Zbaczałyśmy z drogi w pola i tam wypijałyśmy mleko zachęcając siebie wzajemnie: „popij mleczko”. To mleko było dla mnie prawdziwy lekiem ponieważ cały maj ciężko przechorowałam na zapalenie płuc. Leczona byłam chininą, bo penicyliny w Polsce jeszcze nie. znano. Gorączka bliska 40 stopni nie opuszczała mnie przez dwa tygodnie. Byłam wychudzona i słaba. Zaczęły mi garściami wypadać włosy. Po powrocie mama pozwoliło mi obciąć włosy i zrobić pierwszą w życiu trwałą ondulacje tzw. parową. Czy ktoś dzisiaj wie co to znaczy?

Harcerki z Zamościa na obozie w Damnicy w 1948 r. Część drużyny Krystyny Łenykówny (siedzi po lewej). Pierwsza stojąca z lewej Teresa Fabijańska, fot. arch. autorki

Okropna męka i niebezpieczeństwo poparzenia wrzątkiem, który

w specjalnych rurkach nie zawsze szczelnych, bulgotał przez godzinę na głowie. Potem skołtunione włosy niczym u merynosa, układał precyzyjnie fryzjer (przeważnie wówczas płci męskiej). W lewo i w prawo wyciskał głębokie bałwany, po czym odmieniona kompletnie wyglądałam dorosło i pretensjonalnie. Zostało to zauważone w szkole: czy wiecie, że ta mała Fabijańska zrobiła sobie trwałą? – zabrzmiało, jak skandal. Koleżanki przyjęły zmianę tolerancyjnie, a może z ociupina zazdrości.

„Wydarzenie" to odzwierciedlał też i utrwalił wiersz naszej klasowej poetki, Danki Cieliszak, wpisany do mojego pamiętnika:

> *Znam taką „Kropkę" co ma czarne oczy,*
>
> *„Kropkę", co często chodzi bardzo zła.*
>
> *„Kropkę", co niegdyś miała dwa warkocze,*
>
> *Dzisiaj ta „Kropka" ondulację ma.*

Skąd wzięła się „Kropka" nie pamiętam – fakt, że przez całą średnią szkołę nosiłam ten pseudonim.

Tymczasem w szkole wprowadzono reformę zamieniając przedwojenny system dwunastoletni na jedenastolatkę. W

rezultacie, po drugiej klasie gimnazjalnej znalazłam się w klasie dziewiątej. Wprowadzono nowy przedmiot – „Służba Polsce” z komendantką zamiast profesorki. Uczyłyśmy się musztry wojskowej, nawet strzelania z KBKS-u na prawdziwej, wojskowej strzelnicy i ciągle kazano nam śpiewać socjalistyczne piosenki. „Hej, Wy konie rumaki stalowe, hej, na pola prowadźcie że nas, niech zawarczą traktory bojowe, nam już w pochód wyprawić się czas”. „Służba Polsce – święty sztandar nasz, celem dobro ludu, by nad Odrą czujnie trzymać straż, w pracy dokonać cudu”.

Do tych lekcji obowiązywał mundur składający się z wąskiej granatowej i bluzy koloru khaki, o wojskowym kroju z kieszeniami na biuście i patkami na ramionach. Na głowę były furażerki, które najlepiej nosiło się na ramieniu. Miałyśmy więc odmianę munduru. Zetempówki nosiły do tego stroju czerwone krawaty. Ani ja, ani Lalka, bardzo zaprzyjaźniona od czasu Damnicy, nie należałyśmy do tej masowej organizacji komunistycznej. Obie stanowiłyśmy filary reakcji i nawet nam się to udało do końca. Liczyłam się z konsekwencjami takimi, że nie dostanę się na studia, ale i tak byłabym przekreślona. Ojciec wrócił z niewoli i chodził w amerykańskim mundurze, do żadnej partii nie należał, pochodzenie inteligenckie – wszystko to stawiało przy moim nazwisku gigantyczną krechę.

Jedyną nadzieją był Katolicki Uniwersytet Lubelski, gdzie nie pytano o pochodzenie i przynależność organizacyjną, jedynie o

zasób wiedzy i zdolności. Na polonistyce na KUL-u studiowała już wtedy siostra Ela i zaczynał prawo Julek. Pełna więc otuchy i nadziei kończyłam szkolę ogólnokształcącą. Zwyczajem wcześniejszych lat pozwolono nam na wyhaftowanie symboli na czapce maturalnej. Właśnie, żeby łatwiej było odróżniać uczniów różnych szkół zamojskich, wprowadzono obowiązkowe czapki. Nasze miały kolor czarny, krój rogatywki z daszkiem czarnym i otokiem amarantowym, na którym złocił się żółty sznur. Czapki były bardzo gustowne i twarzowe. Miękki aksamit dobrze się układał i świetnie zginał, gdy trzeba było schować czapkę do teczki. O to noszenie na głowach stale wychowawczynie pers-wadowały i apelowały. Dopiero ozdobiona haftem, maturalna czapka stała się bez perswazji naszą dumą. A tym haftem było niewątpliwe curiosum – plan sześcioletni: na złotej siatce czerwona linia wykresu 1945 – 1951 z gołąbkiem pokoju u góry i czerwonym, wielkim napisem AKADEMIA ZAMOSCENSIS. Signum temporis. Symbol dawnej Akademii założonej przez hetmana Jana Zamoyskiego został samowolnie zmieniony i pozbawiony herbu rodowego „Jelita” (trzy włócznie). Takie pomieszanie z poplątaniem. No, ale tak było. Ktoś wymyślił, ktoś zaakceptował Czapka, jako pamiątka rzeczowa istnieje, chociaż nieco sfatygowana.

Stosunkowo często w szkołach i w harcerstwie organizowane były zabawy taneczne. Pierwszą zabawą, która trwała aż do godziny 23 była oczywiście studniówka, świetnie przygotowana

pod względem artystycznym wspólnie z kolegami z męskiego liceum – klas równoległych. Traktowałyśmy ich dość pogardliwie uważając za dzieciuchów nie umiejących tańczyć. Wzięli to sobie do serca i o dziwo! uczyli się na każdej przerwie. Któregoś dnia wybuchła afera, doszło do obrazy. I to kto? – Leszek, syn dyrektora Michała Bojarczuka nazwał nas „starymi gratami, z których sypie się próchno". Sprawa oparła się o obie dyrekcje. Zażądałyśmy przeprosin. Wreszcie nasza pani dyrektor Hanna Porębska przyprowadziła do klasy purpurowego Leszka, który w obecności swojej sympatii, damy serca, stanął przed klasą i głośno nas przeprosił. Wtórował temu aktowi skruchy złośliwy chichot. Studniówka nie została odwołana i pięknie udała się, z zaangażowaniem obu szkół ogólnokształcących.

Na początek przedstawiliśmy operetkę z librettem pisanym przez Hanię Skopińską i Marysię Cieślakównę – dwie utalentowane, szalone dziewczyny, moje przyjaciółki z Zamościa i wcześniej z Hrubieszowa. Reżyserowała pani Regina Cieślakowa. To było świetne przedstawienie z tekstami o naszych szkolnych bolączkach, obrazujące wkraczający do szkół reżim stalinowski i bezsens niektórych działań zwłaszcza organizacji politycznej Związku Młodzieży Polskiej (ZMP), która zdominowała wszystkie organizacje i sterroryzowała grono nauczycielskie. ZMP decydowało o ich życiu. Ale młodzież, jak to młodzież zawsze sobie jakoś poradziła, chociaż byli koledzy, którym nie dano zdać matury, poszli siedzieć na zamku w Lublinie, rzekomo

zamieszani w zabójstwo milicjanta w niedalekim od Zamościa Zwierzyńcu. Prawdy nie dowiedzieliśmy się nigdy. Faktem był wyrok śmierci, złagodzony do 25 lat. Śmierć Stalina i czasy Gomułki ułaskawiły ich po kilku latach spędzonych w donżonie zamku *(okrągła wieża przyp. red.)*, gdzie była woda po kostki, a po jakimś czasie także we Wronkach (więzienie we Wronkach dla więźniów politycznych uważane było za najcięższe). Jurka Kurzempy, tego uroczego, inteligentnego i bardzo zdolnego kolegi-filozofa nie widziałam już nigdy, a Jurka Kuszla, ktorego poznałam przez mojego brata Julka po zwolnieniu w 1954 – siwiusieńkiego, jakby miał 70 lat. Piszę o tym, by utrwalić ich pamięć.

Wspomnienia Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej ukazują się w ostatni czwartek miesiąca.

Poprzednie części wspomnień:

> Powrót ojca z niewoli

> Z rodzinnego albumu. Życie pod zaciemnieniem.

*

TERESA FABIJAŃSKA-ŻURAWSKA

wybitny historyk sztuki, wieloletnia kustosz Powozowni Zamkowej w Łańcucie

> Historia w karetach zaklęta

Powrót ojca z niewoli

Józef Wit Fabijański, jeniec stalagu IV G w Oschatz, nr 13694, fot. arch. autorki

Teresa Fabijańska-Żurawska *(Łańcut)*

Znowu urwał się kontakt z naszym ojcem, podobnie, jak to było na początku wojny. Codziennie wieczorem klękamy w jadalnym i modlimy się. Mama głośno odmawia litanię Loretańską do Matki Boskiej w intencji ojca by żył, by do nas wrócił. Wszystkie niedziele i święta chodziliśmy na mszę św. do kościoła św. Mikołaja, parafialnego i przyjmowaliśmy komunię św. w intencji

powrotu naszego taty. Coraz częściej dręczyły mnie sny. Wyraźnie widziałam powracającego ojca, który mnie tulił mocno, czułam jego obecność i… budziłam się w środku nocy z rozpaczliwym płaczem.

Było nam coraz trudniej ze wszystkim. Był rok 1943. Niemcy zachowywali się nerwowo. Z Warszawy napływały same złe wieści. Aresztowany został mamy wuj Aleksander Andrzejkowicz. Mówiono o wywożeniu inteligencji polskiej do Oświęcimia. Jeszcze nikt nie wiedział u nas co to jest Auschwitz. Na głównych ulicach Hrubieszowa Niemcy zgarniali przypadkowych ludzi z łapanek, pakowali siłą do ciężarówek i wywozili na roboty do Rzeszy. Była to praca przymusowa, bardzo ciężka i pod nahajami. Dla młodych organizowali obozy pracy tzw. „junaki". Co jakiś czas odbywał się komisyjny pobór i tylko choroba mogła uratować. Mama drżała zarówno o Elę, jak i o Witka. Ela wprawdzie pracowała legalnie w Polskim Czerwonym Krzyżu, ale każde wyjście na ulicę groziło łapanką, a te odbywały się znienacka i w godzinach, gdy ludzie wychodzili z pracy. W małym i słabo zabudowanym Hrubieszowie praktycznie nie było możliwości ucieczki toteż każdy szczęśliwie przeżyty dzień był dla nas cudem.

W zimie 1944 r. nasiliły się partyzanckie walki polsko-ukraińskie. Niemcy celowo podjudzali, aby odwrócić uwagę od siebie, bo już nie byli zwycięzcami. Złość, desperacja rodziła nienawiść tak

wielką, że wzajemnie Polacy i Ukraińcy – wczoraj sąsiedzi i pobratymcy – teraz najwięksi wrogowie wyniszczali się do cna. Bestialskie mordy, tylko za przynależność narodową czy religijną, wyrzynanie się wzajemne, palenie całych wsi, osiągnęły szczyt w marcu. Nie było dnia bez łun od południa i wschodu, które rozświetlały niebo złowrogo i budziły lęk łącznie z pytaniem: kiedy nas podpalą? – Wiosna 1944 r. między Huczwą a Bugiem przyniosła spaloną ziemię, ruiny domów, zwęglone sady, zrujnowane gospodarstwa, zabite bydło. Wypędziła resztki oszalałych bezdomnych ludzi. Do dzisiaj ślady tego horroru są widoczne. 1 tylko zadumać się wypada nad pięknymi opisami pióra znanego profesora, z pochodzenia hrubieszowianina – Wiktora Zina:

> Była taka wieś nad Bugiem, piękna jak kolorowy, dobry sen. Były tam rozstawione w rytmie i porządku chałupy kryte strzechami. (…) Przed każdą zagrodą stała kapliczka pośród liliowych bzów lub biało kwitnącej kaliny. Każde podwórze nakrywał parasol dorodnego drzewa, lipu lub jesionu (…). Żyli tam ludzie w trudzie, ale i w dostojeństwie, które daje modlitwa i praca. (…) Bratobójcze walki sprawiły, że z tego miejsca pamiętającego odwieczny rytm życia wielu pokoleń, pozostały ledwie kikuty kominów, zarośnięte ścieżki i kępy niedopalonych krzewów. Wyrąbano nawet krzyże, wdeptano w ziemię kapliczki. (Wiktor Zin, Opowieści o polskich

> kapliczkach, Ossolineum 1995).

***

Koniec listopada 1944 r. i „andrzejkowe” wróżby. Lejemy wosk do miednicy z zimną wodą. Wszyscy przejęci, skupieni. Kolejno każdy wylewa swój los. Na białej ścianie odczytujemy z cienia co wyszło. Nie jest to proste. Figurą woskową trzeba kręcić we wszystkie strony i najczęściej nic nie wychodzi. Namówiliśmy mamę, żeby spróbowała. Teraz z powagą, w ciszy przyglądamy się bezkształtnej masie. Obracamy w palcach ostrożnie, żeby nie połamać miękkiego wosku i… oto wychodzi nam sylwetka mężczyzny nieco przygarbionego, z plecakiem na plecach, w wysokich butach i w czapeczce z małym daszkiem. Wyrazista i nad podziw czytelna. Nie do wiary! – Mama śmieje się i mówi: „któż to???” – Zapanowała głęboka cisza, ale po chwili byliśmy rozbawieni wszyscy. Sypały się dowcipy moich braci, zwłaszcza uszczypliwe na temat mojej przyszłości matrymonialnej. Miał to być fircyk – korniszon. Nigdy tego zestawienia słów nie zrozumiałam. A czy to się spełniło – opowiem później.

***

Mimo terroru i niebezpieczeństwa w Hrubieszowie powstały tajne komplety nauczania średniego. Dużo młodzieży uczyło się,

a nauczycielami byli przedwojenni profesorowie gimnazjalni. Już w 1943 roku zaczęła działać Armia Krajowa. Witek ubrał się w ojcowski, peowiacki mundur polowy: spraną bluzę, sznurowane spodnie, włożył furażerkę i poszedł do lasu.

Przysięga żołnierzy – akowców odbyła się 25 września 1943 r. w Hrubieszowie, oczywiście w konspiracji. Przyjmował Kazimierz Stachowiak pseudonim „Ludwik". Dowódcą zgrupowania AK Obwodu Hrubieszowskiego był wówczas Marian Gołębiewski, pseudonim "Korab". Te wiadomości otrzymałam od brata już w latach 90. XX w.

Któregoś dnia Witek przyszedł w biały dzień do domu, od strony lasu Bohorodycy i łąk, z bagnetem za pasem, jak gdyby nigdy nic. Przyszedł pokazać się, że żyje i pewnie zjeść, chociaż nie bardzo było co. Jedliśmy wtedy na okrągło zacierkę, jeśli była mąka od Wacka Banaszkiewicza z Wiszniowa, placki na sodzie, latem kukurydzę i bób. Czasem kupowaliśmy od sąsiadów jabłka, wtedy była szarlotkowa uczta, ale te szarlotki były bez tłuszczu i bez cukru, z szarej, zanieczyszczonej mąki. Piło się herbatę z suszonych skórek z tychże jabłek, których charakterystyczny zapach unosił się zawsze w mieszkaniu. Lubiłam go i do dzisiaj miło się kojarzy.

Bez Witka czuliśmy się mniej bezpieczni. On nam zapewniał byt, zastępował w jakimś sensie Ojca, był naszym opiekunem. Zawsze

coś zdobył: mleko, mąkę, z której sam upiekł chleb u sąsiadów w dużym piecu chlebowym i podpłomyki niezapomniane, bo były to placuszki płaskie, z ciasta chlebowego, które piekło się przy jeszcze żarzących węgielkach drzewnych, zanim chleb poszedł do pieca, dla wypróbowania czy odpowiednia jest jego temperatura. Były więc zawsze podpieczone i to był ich urok, niepowtarzalny zapach i jedyny smak. Łamało się ich okrągławy kształt i jadło ciepłe, kruche z masłem, o ile ono było. Wtedy smakowały najlepiej. Witek miał w 1944 roku osiemnaście lat, jak w tej piosence partyzanckiej o sercu w plecaku, był chyba najmłodszym partyzantem w swoim oddziale. Bardzo martwiliśmy się o niego.

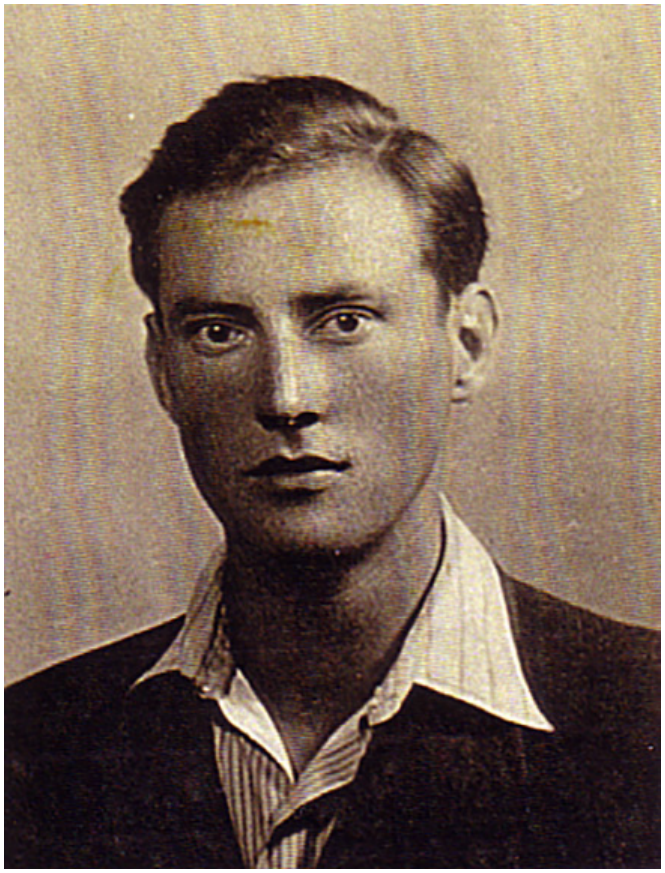

Mój najstarszy brat Wiktor Fabijański, ur. 31.01.1926 r. w

Zamościu, od 1943 r. w Armii Krajowej, pseudonimy „Kaśka” i „Jeremi”, łącznik w Hrubieszowie, fot. arch. autorki
Tymczasem zbliżał się do nas front. Słychać było głuche pomruki dział sowieckich, ziemia jęczała. Robiło się coraz straszniej. Niemieccy żołnierze kopali rowy w podwórzach. Miały zdaje się służyć na działa przeciwlotnicze. Tymczasem posłużyły nam jako schronienie przed odłamkami w czasie bombardowań w lipcu 1944 roku.

Byliśmy już z Julkiem po szkole, lato było upalne, błękitne niebo, jaskrawe słońce i susza. Nie wiem, czy to Niemcy na odchodnem, czy Sowieci nacierając bombardowali tory kolejowe co parę metrów. Samoloty nadlatywały seriami, po kilka. Najpierw słyszało się głuche buczenie coraz to nasilające się, później przeciągły, rozdzierający uszy huk, wycie, nagle zniżały się tuż nad nami i za chwilę serią bomb częstowały polską ziemię. Świst, wybuch, jęk ziemi, fontanny kamieni, odłamków, brzęk szkła i… cisza. Do dzisiaj na warkot samolotu reaguję gęsią skórką.

Bomby spadały przeważnie na wygon robiąc tam ogromne leje. Odłamki rozpryskiwały się w promieniu kilkuset metrów. Ranna została pani Janka Malinowska, strasznie śmieszna stara panna, Eli koleżanka z PCK. Przybiegła do nas między nalotami z głową zabandażowaną białymi szmatami i właśnie zaczął się kolejny nalot. Skoczyłyśmy we trzy do rowu: Ela w jednym kąciku, ja przytulona z psem Sońką, jamniczką zostawioną nam przez

uciekinierów ze wschodu, w drugim kątku, a panna Janka na środku z tą białą głową. Kazałyśmy jej przykryć głowę stołkiem, po którym wskakiwałyśmy. Posłuchała. A Mama z Babcią siedziały cały czas w malinach i nigdzie nie chciały się ruszać, o żadnych dołkach nie myślały. Julek siedział na jabłonce i obserwował ostrzał z samolotów i chyba walkę powietrzną, bo ciągle wrzeszczał z zachwytem – ale dostał! Okna były wszystkie pootwierane, żeby szyby nie wyleciały, ale u sąsiadów i w oficynie nikt o to nie zadbał i słychać było brzęk tłukącego się szkła. Pamiętam, że te naloty trwały cały dzień. Nie wiem czy jeden, czy więcej. Na pewno jedną noc spaliśmy w lochu na kartoflach, które Wojtysiakowie mieli w podwórzu. Loch okazał się na tyle duży, że zmieściliśmy się: Babcia, Mama, Ela, Julek i ja. Sąsiadów gdzieś wyniosło. Nie było żywego ducha. Nad ranem zaległa martwa cisza. A gdy słońce już było na niebie posłyszeliśmy ruską mowę: ”kuda, chody siuda”, „sało u was zdes?”, „wodka, wodka”! – wylegliśmy z lochu. Widok był swojski. Ruscy sołdaci, przyjaźni ludziom miejscowym poszukiwali chleba, słoniny, wódki. Byli brudni, głodni i śmierdzieli dziegciem (dobrze znany nam zapach, gdy mieliśmy świerzb). Myli się pod studnią mydłem, które miało dziwne niebieskie kropki. Myśmy mydła nie widzieli już od dłuższego czasu, zapasów nie było, więc podarowany kawałek, kosteczkę prostokątną przyjęliśmy z wdzięcznością.

Pokazali się ludzie, wylegli z ukryć, poprzynosili żołnierzom

wszystko, co mieli. Znalazł się chleb i słonina. Nasza wdzięczność dla nich wtedy nie miała ceny. Byli to wyswobodziciele od tych znienawidzonych, butnych, okrutnych Niemczurów. Sowieccy żołnierze mieli nici białe i czarne, dobre, mocne, do przyszywania kołnierzyków i guzików. Dawali nam swoje zapasy, które przydały się później. Jeszcze długo po wojnie tekturowe gwiazdki z resztkami tych nici przechowywała Ela w swoim igielniku wraz z ruskim naparstkiem. Takie były prezenty powitalne od wyzwolicieli. Trzeba to powiedzieć, gwoli prawdy, że od razu zrobiło się radośniej i już nie było tego paraliżującego lęku o życie.

Dowództwo AK uznało, że czas wyjść z lasu. Rzucone hasło „na Warszawę" miało być zrealizowane. Ogłoszono dzień powitania Akowców w mieście Hrubieszowie. Tłumy wyległy na ulice. Kto żyw niósł kwiaty, by rzucić je do stóp naszym bohaterom.

– Ależ, co to? – w każdym załomie, podwórzu, w bocznych uliczkach ruskie, zamaskowane gałązkami zieleni czołgi. Lufy skierowane na główną ulicę. Ludzie szeptali: „ale zagrzmią na wiwat, a potem na pewno pojadą za naszymi na Warszawę". Domysły te okazały się płonne. Dziarscy nasi, chłopcy w zwartych szeregach wyszli z lasu i maszerowali radośni, odważni, szczęśliwi, że będą mogli otwarcie walczyć z wrogiem, być współwyzwolicielami własnej Ojczyzny.

I wtedy stało się coś strasznego. Czołgi wyjechały na nich. Nie uwierzyli własnym oczom i szli dalej, na przód. Jeden zginął. Wtedy z okrzykiem „zdrada”! rzucili się do ucieczki, gdzie kto mógł. To widzieli zgromadzeni wzdłuż ulic mieszkańcy.

Relacja Wiktora Fabijańskiego pseudonim „Kaśka”, później „Jeremi”:

> Maszerowaliśmy do Hrubieszowa zgodnie z uzgodnieniami między dowództwami AK i wojsk sowieckich. Obiecano nam umundurowanie, dozbrojenie i przewiezienie do obrzeży Warszawy. Mieliśmy zakwatero-. wać się chwilowo w koszarach w Hrubieszowie. Nasze 3 bataliony liczące około 1400 żołnierzy masztowały drogą Trzeszczany – Hrubieszów. Przed Hrubieszowem otrzymaliśmy meldunek, że Hrubieszów jest zastawioną pułapką, czekają tam na nas okopane CKM-y i czołgi. Wtedy dowódca naszego Zgrupowania zarządził odwrót i wycofanie się w lasy na. północnym zachodzie powiatu hrubieszowskiego. Czołgi dogoniły nas wieczorem. Śniadanie mieliśmy zgotowane o 8-ej rano przez ludność w Trzeszczanach, gdzie owacyjnie nas przyjmowano. Oddziały pospiesznie się wycofywały. Ja z rozkazu szefa mojej kompanii przesiadłem się na konia naszego dowódcy por. ”Osterwy” czyli Zygmunta Ochmana i na tym koniu jeździłem z patrolem do późnej nocy. Potem

> konia musiałem oddać i dołączyłem do plutonu „CKM” por. „Zycha” czyli Janusza Grody. Czołgi nie od razu ruszyły za nami. Na przedzie mieliśmy dwa działka przeciwpancerne. Nikt nie zginął”. – Chwała Bogu! Ale nikczemność i zdrada były oczywiste. Nie mieliśmy już złudzeń co do naszych „wyzwolicieli.

W Warszawie wybiła „Godzina W”. Stało się to 1 sierpnia o godz. 17.00, 1944 r. Wojska sowieckie były wtedy na Pradze i stały nad Wisłą patrząc, jak ginie Warszawa. Czekali specjalnie aż się wykrwawi, aż padnie ostatni powstaniec, aż Niemcy zburzą jej domy systemem sznurowym, całymi ciągami zabudowy, ulica po ulicy, kamienica po kamienicy. Jedno wielkie gruzowisko…

Józef Wit Fabijański, przed wojną w 1939 r.

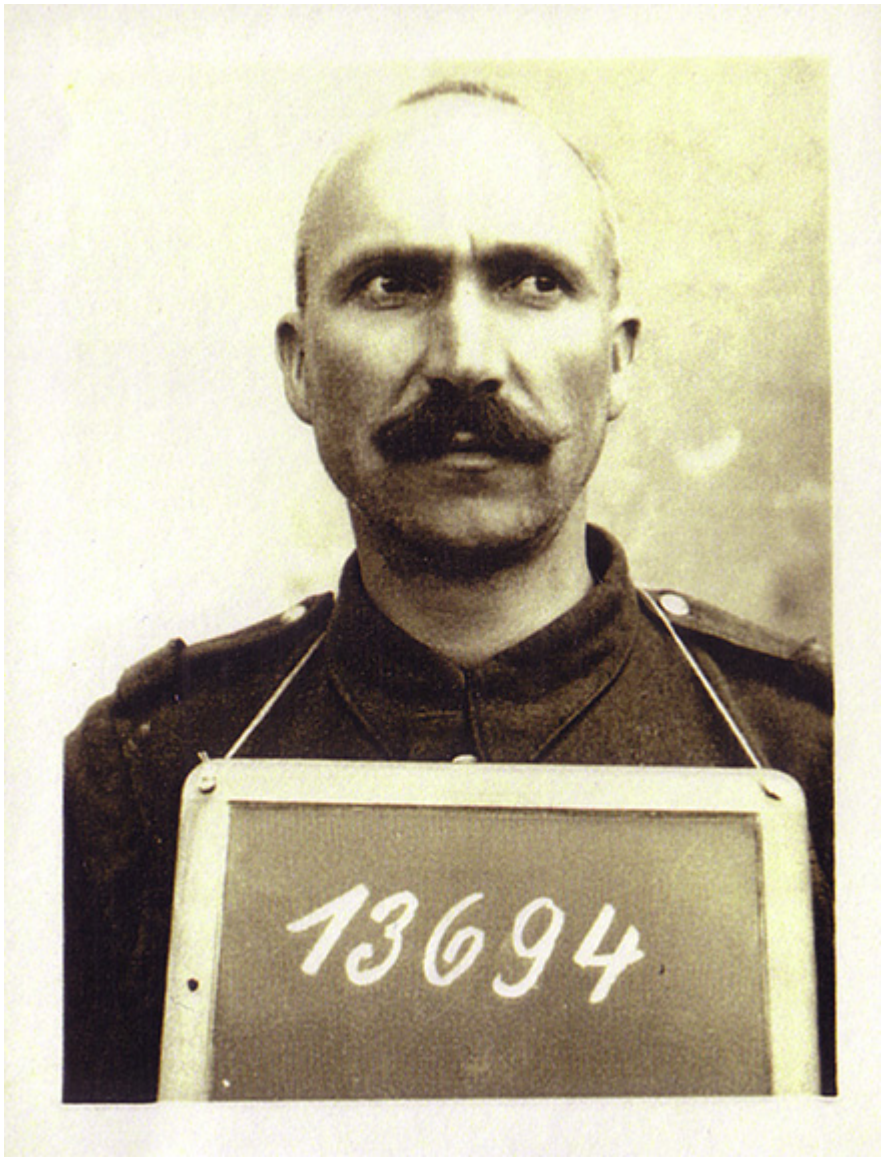

Józef Wit Fabijański w stalagu w Oschatz, listopad 1939 r.

Powstanie Warszawskie trwało 63 dni. Heroizm mieszkańców i walczących Akowców sięgnął zenitu. Wydawało się, że nie ma już żywych wśród tych ruin. Ale, gdy okupanci kazali ludności wyjść z piwnic, lochów, schronów, gruzowisk – okazało się, że cudem jakimś wiele ocalało. Wygnano ich z Warszawy do obozu w Pruszkowie. Ciocia Milusia, mamy siostra, nasza rodzinna mistyczka przez cały czas powstania była w Warszawie. Przetrwała najgorsze i razem z uchodźcami dzieliła smutny los.

Została wywieziona do Austrii, gdzie przebywała w nieznanym nam bliżej klasztorze w dolinie Linzu, już do końca wojny.

Jako absolwentka matematyki na uniwersytecie w Petersburgu, przyjechała do Warszawy w wolnej Polsce i pracowała w banku PKO na Żoliborzu. W dwudziestoleciu międzywojennym stanęła tam zabudowa mieszkaniowa. Ciocia miała własnościowe mieszkanie na rogu ulic Mickiewicza i Zajączka. W czasie działań wojennych najpiękniejszy pokój został uszkodzony pociskiem. Odbudowane zajęli przypadkowi ludzie. Trzeba było pracować ćwierć wieku, by mieszkanie to odzyskać drogą wpłaty czy spłaty za podobny lokal nieproszonym lokatorom. Ciocia czuła się warszawianką i do stolicy wróciła, tyle, że niezadługo zmarła na białaczkę. Podziwialiśmy Jej wiedzę, wiarę w lepszą przyszłość Polski. Uwielbialiśmy Jej opowieści, anegdotki, którymi bawiła nas w czasie okupacji, gdy przyjeżdżała na swoje urlopy do Hrubieszowa, Czumowa, czy, już po wojnie, do Zamościa.

Niemców nie bała się i w ogóle była ogromnie odważna, rodzinna, o głęboko zakorzenionym patriotyzmie nie pozbawionym dużej dawki mistycyzmu. Umiała interpretować wszelkie znane w Polsce przepowiednie i miała niezłomną wiarę w wolną Polskę, na prawdę wolną. W którymś roku wojny pojechała sama do Czumowa na Boże Narodzenie, by, jak sama mówiła „wykurzyć Niemców” za pomocą snopka zboża ustawionego w Wigilię w rogu salonu. Taka ludowa wróżba. I

stało się. Ale w ostatnim roku okupacji kontakt z Ciocią Milusią urwał się. Byliśmy przecież po dwóch stronach Wisły, a to znaczyło w dwóch różnych światach.

***

Przyszedł rok 1945. Upalny czerwiec. Jeszcze nie koniec szkoły podstawowej. Niespodziewanie przyszła depesza z Zamościa o radosnej treści: „Wujcio Pocio wrócił”. Wysłała ją siostrzenica naszego Taty, Jadzia Kosińska. Był dzień 14-ty czerwca. Dokładnie, jak przepowiedział duch. Na drugi dzień nie poszliśmy do szkoły, bo witaliśmy lekko przygarbionego pana z plecakiem na plecach, w wojskowej, amerykańskiej kurtce, wysokich sztylpach, w zielonej, małej czapeczce z małym daszkiem. Sylwetka dokładnie powtórzona z pamiętnego odlewu woskowego, wywróżona w „andrzejkowy” wieczór. Cóż powiedzieć? – Przecież to nie zbieg okoliczności…

Pamiętam dobrze moje pomieszanie, nieśmiałość, wręcz wewnętrzny paraliż. Nie mogłam pojąć, że ten dziwnie wyglądający pan, pochylony i przedwcześnie postarzały to mój ukochany, wyczekiwany, wypłakany Tatuś, zupełnie nie podobny do tego z fotografii przedwojennej, którą mama nam ciągle pokazywała. Po sześciu latach nieobecności nie mogłam przytulić się, ucałować, objąć. Nie byłam już małą dziewczynką, byłam podlotkiem, za dużym, by wziąć na ręce i za małym, by zarzucić

ręce na szyję. Stałam onieśmielona i patrzyłam na to rodzinne powitanie, a w głowie mi szumiało. Czułam, że chwila jest ważna, że dzieje się coś wielkiego, czego nie umiałam okazać. Pamiętam, że po powitaniach wszyscy usiedliśmy i zaczęły się opowieści. Tata mówił nam o swojej niezwykłej podróży przez Europę i Polskę. Jakże musiała ta droga się dłużyć… od 16 kwietnia, gdy opuścili obóz w Oschatz do 7 czerwca – końcowego etapu pociągiem do Zamościa. I wreszcie był ze swoją ukochaną Lolusią i czwórką młodzieży, której na ulicy pewnie by nie rozpoznał po sześciu latach niewidzenia.

Polska kaplica w niemieckim obozie w Oschatz w Saksonii, fot. arch. autorki

Potrzebowałam czasu, by oswoić się z nową dla mnie sytuacją, by

dotarło nareszcie do mojej świadomości, że mam Ojca żywego, który wrócił do nas i będzie się teraz nami opiekował. Szczęśliwy to dzień i szczęśliwe te dzieci, które przeżyły powrót ojca z wojny. Ileż rodzin czekało na darmo! – ileż dzieci dowiedziało się, że ich ojciec wprawdzie żyje, ale do nich nie wróci, bo ma już drugą żonę, drugą rodzinę, drugą ojczyznę.

Dzisiaj dopiero zrozumiałam, jaki to musiał być dramat wewnętrzny, jaka rozterka: wrócić do zniewolonego komunistycznego Kraju, czy pozostać za granicą np. w Anglii i tam czekać zmiany losu Polski. – Czekać na cud lub trzecią wojnę, a może działać z dala na rzecz Polski – Ojczyzny jedynej?

Ojciec mój, nie zważając na złowieszcze prognozy swoich towarzyszy niedoli jenieckiej, na ich żarty, wręcz kpiny i manifestowaną pogardę, że wraca pod reżim, by pomóc Sowietom budować go w Polsce – miał jeden argument, okazało się bardzo trudny do pojęcia, a przecież tak prosty. – Jest już po wojnie – powiedział – wracam do mojej rodziny. Czekają na mnie, liczą, potrzebują mnie. Żona i czworo uczącej się młodzieży. Muszę być z nimi, dla nich pracować, wykształcić moje dzieci, przecież to mój obowiązek społeczny. Mam też w kraju Matkę i siostrę. Muszę się nimi zaopiekować. Nie pojmuję życia inaczej. I wrócił!

Europę przemierzał odcinkami: koleją i pieszo. Wszędzie ruiny,

zbombardowane mosty, zatarasowane drogi, żadnej normalnej komunikacji. Dla piechura pozostały tylko dwie pewne nogi i plecy do dźwigania skarbów w plecaku. A tymi skarbami były listy od nas do Ojca pisane na przestrzeni tych lat, spora i ciężka paczka ok. 600. Był też album z fotografiami obozowymi, numery gazety – miesięcznika stalagowego „Zza drutów”, szkatułka drewniana własnej roboty – prezent dla żony i maszynka do krojenia chleba – cud cywilizacji europejskiej – bez deski, bo ta była już za ciężka. W albumie kryła się jeszcze jedna pamiątka – świętość: obrazek Matki Bożej Częstochowskiej (wielkości pocztówki) z uszkiem z nitki do zawieszenia nad pryczą. Według tego wizerunku młody jeniec – Polak namalował duży, piękny obraz do kaplicy obozowej Polaków. Było uroczyste jego poświęcenie i zachowała się fotografia malarza. Młody, ładny chłopak, jakże utalentowany. Może Częstochowska wzięła go w swą opiekę?

Ten młody żołnierz o nieznanym nazwisku namalował obraz kaplicy obozowej w Oschatz. Wzorem był mały obrazek z Matką Boską Częstochowską należący do mojego ojca Józefa Wita Fabijańskiego, fot. arch. autorki

Tatulku mój, ile wycierpiałeś, ile się natrudziłeś, ile namęczyłeś – Ty wielki patrioto, polski PEOWIAKU (P.O.W.—Polska Organizacja Wojskowa), ułanie belwederski I pułku Szwoleżerów Józefa Piłsudskiego, żołnierzu polski, któryś walczył dzielnie rozbrajając okupantów w Kijowie 1920 roku. Pomagałeś ustanawiać porządek i polską, władzę na Wołyniu za co

odznaczono Cię Złotym Krzyżem Walecznych. Ty, mężny, kochający Ojczyznę i nas tak bardzo, że wybrałeś trudniejszą niepewność niż angielski dobrobyt. Spieszno Ci było do Twojej kochanej Lolusi i czcigodnej Mateńki oraz naszej czwórki. Dzień po dniu pokonywałeś drogę do Polski w upale i w deszczu, po gruzach i zgliszczach, głodny i wyczerpany – ale jakże wytrwały! Umiałeś być dzielnym. Piłsudskiemu też niosłeś zamojską ziemię w urnie na kopiec do Krakowa. Szedłeś pieszo codziennie przemierzając drogę od dworu do dworu lub od plebani do plebani, by na czas dojść do stolicy Piastów i Jagiellonów. Przechowuję, jak relikwię świętą, Twoją książeczkę z tej wędrówki, w której czerwone i fioletowe pieczęcie poświadczają ślad Twoich stóp.

***

Droga wojskowa Józefa Wita Fabijańskiego

Urodzony 15 czerwca 1899 r. w Miękowiźnie powiat Garwolin z matki Władysławy z Taczanowskich i Aleksandra Fabijańskich. Po nagłej śmierci ojca w 1908 r. wyjechał z rodziną do Włodzimierza Wołyńskiego, gdzie uczęszczał do gimnazjum. W końcu 1917 r. wstąpił do P.O.W., a w dn. 5 kwietnia 1918 r. złożył przysięgę. Początkowo należał do sekcji oświatowej i z aparatem projekcyjnym objeżdżał polskie kolonie. Dnia 7 czerwca 1919 r. wstąpił jako ochotnik do 1 Pułku Szwoleżerów 5

szwadronu detaszowanego por. Brochwicz-Lewińskiego. Później był w sztabie 1 Dywizji Legionów w oddziale operacyjno-informacyjnym jako szef kancelarii. Po zakończonej wojnie 1920 r., w której brał udział w Kijowie i na Wołyniu został odznaczony Krzyżem Wołynia – Waleczności i Niepodległości. Dnia 27 czerwca 1921 r. na prośbę matki został zwolniony z wojska. Podjął dalszą naukę w Warszawie specjalizując się w kierunku buchalteryjno-handlowym na prywatnych kursach. Widocznie finansiści byli poszukiwani, bo ojciec otrzymał kilka propozycji, ale nie w Warszawie, gdzie miał ochotę pozostać i jeszcze się kształcić. Przyjął stanowisko dyrektora prywatnej fabryki St. Kowerskiego w Zamościu. Potem były lata kryzysu i propozycja organizowania i kierowania Bankiem Spółdzielczym Rolników w Hrubieszowie. To trwało do wybuchu wojny.

Jako rezerwista ojciec został powołany dopiero 9 września na zgrupowanie do Tomaszowa Lubelskiego. Pojmany przez wojska sowieckie w nocy z 17 na 18 września na terenie Wołynia, w okolicach Równego przebywał w niewoli sowieckiej na terenie Rosji (wożony w bydlęcych wagonach na mokrych liściach przez 7 tygodni). Drogą wymiany jeńców pomiędzy ZSRR a Niemcami, dostał się do międzynarodowego obozu na terenie Saksonii w miejscowości Oschatz, położonej między Dreznem a Lipskiem i tam w różnych Stalagach przebywał do kwietnia 1945 r.

Po powrocie do Polski, do Zamościa, pracował najpierw w PKO,

później w prywatnej fabryce wódek Ostera, a po jej likwidacji w Zakładach Sieci Elektrycznej w Zamościu, zawsze na stanowisku związanym z finansami, księgowością, dawniej nazywało się to buchalterią. Zmarł w Zamościu, będąc już na emeryturze dn. 6 września 1972 r.

***

Eigentums-Bescheinigung

über 1 paar Halbschuhe 3 Hemden 2 Unterhosen, 1 Schlafhose — 1 Schlafjacke, 3 paar Socken, 1 Pullover

aus einer Paketsendung an den Kriegsgefangenen:

Nr.: 13694 Name: Fabijanski, Josef

Vorgenannter Gegenstand ist Eigentum des Kriegsgefangenen.

Oschatz, den 5. Jan. 1944.

Kdtr. Stalag IV G
Postüberwachung

Paketprüfer
Bergell Obsch.

Luckenwalde
Treuenbrietzen
Jüterbog
Coswig
Wittenberg
Roßlau
Dessau
Bitterfeld
Wolfen
Delitzsch
Eilenburg
Torgau
Oschatz
Riesa
LEIPZIG
Grimma
Borna
Altenburg
Meuselwitz
Zeitz
Penig
Rochlitz
Mittweida
Hainichen
Freiberg
Frankenberg
Burgstädt
Limbach-Oberfrohna
Glauchau
Meerane
Crimmitschau
Ronneburg
Werdau
ZWICKAU
Oelsnitz
Stollberg
Lichtenstein
Neukirchen
Lugau
Zschopau
Annaberg-Buchholz
Schneeberg
Aue
Schwarzenberg
Johanngeorgenstadt
Auerbach
Treuen
Rodewisch
Falkenstein
Klingenthal
Markneukirchen
Adorf
Bad Elster
Karlovy Vary
Sokolov
Kyšperk n. O.
Ústí n. L.
Teplice
Chomutov
Most
Litoměřice
Louny
Žatec
Slaný
Kralupy n. Vlt.
Mělník
Mladá Boleslav
Lovosice
Roudnice n. L.
Libochovice
Benátky n. Jiz.
Brandýs n. L.
Stará Boleslav
PRAHA
(PRAGA)
Rakovník
Kladno
Hostivice
Dresden
(DRESDEN)
Bautzen
Görlitz
Zittau
Varnsdorf
Rumburk
Česká Lípa
Děčín
Jablonné v Podještědí
Hoyerswerda
Weisswasser
Spremberg
Forst
Guben
Cottbus
Senftenberg
Finsterwalde
Lauchhammer
Gr. Räschen
Kamenz
Bischofswerda
Radeberg
Pirna
Freital
Meissen
Riesa
Oschatz
Torgau
Wurzen
Eilenburg
Delitzsch
Bad Schmiedeberg
Wittenberg
Coswig
Roßlau
Dessau
Bitterfeld
Wolfen
Jüterbog
Luckenwalde
Treuenbrietzen
Zossen
Lübben
Lübbenau
Cottbus
Forst
Spremberg
Hoyerswerda
Weisswasser
Görlitz
Zittau
Varnsdorf
Rumburk
Česká Lípa
Děčín
Ústí n. L.
Teplice
Chomutov
Most
Litoměřice
Louny
Žatec
Slaný
Kralupy n. Vlt.
Mělník
Mladá Boleslav
PRAHA
(PRAGA)
Rakovník
Kladno
Hostivice
Karlovy Vary
Sokolov
Kyšperk n. O.
Klingenthal
Markneukirchen
Adorf
Bad Elster
Falkenstein
Auerbach
Treuen
Rodewisch
Schwarzenberg
Johanngeorgenstadt
Annaberg-Buchholz
Schneeberg
Aue
Zschopau
Lugau
Neukirchen
Lichtenstein
Oelsnitz
Stollberg
Werdau
ZWICKAU
Ronneburg
Crimmitschau
Glauchau
Meerane
Hohenstein-Ernstthal
Limbach-Oberfrohna
Burgstädt
Penig
Altenburg
Meuselwitz
Zeitz
Borna
Grimma
Markkleeberg
Zwenkau
LEIPZIG
Schkeuditz
Eilenburg
Delitzsch
Bad Düben
Torgau
Oschatz
Riesa
Grossenhain
Radeburg
Bischofswerda
Bautzen
Kamenz
Hoyerswerda
Weisswasser
Spremberg
Forst
Guben
Cottbus
Senftenberg
Finsterwalde
Lauchhammer
Gr. Räschen
Jüterbog
Luckenwalde
Treuenbrietzen
Coswig
Wittenberg
Roßlau
Dessau
Bitterfeld
Wolfen
Delitzsch
Eilenburg
Torgau
Oschatz
Riesa
Grossenhain
Radeburg
Bischofswerda
Bautzen
Kamenz
Hoyerswerda
Weisswasser
Spremberg
Forst
Guben
Cottbus
Senftenberg
Finsterwalde
Lauchhammer
Gr. Räschen
Jüterbog
Luckenwalde
Treuenbrietzen
Coswig
Wittenberg
Roßlau
Dessau
Bitterfeld
Wolfen
Delitzsch
Eilenburg
Torgau
Oschatz
Riesa
Grossenhain
Radeburg
Bischofswerda
Bautzen
Kamenz
Hoyerswerda
Weisswasser
Spremberg
Forst
Guben
Cottbus
Senftenberg
Finsterwalde
Lauchhammer
Gr. Räschen

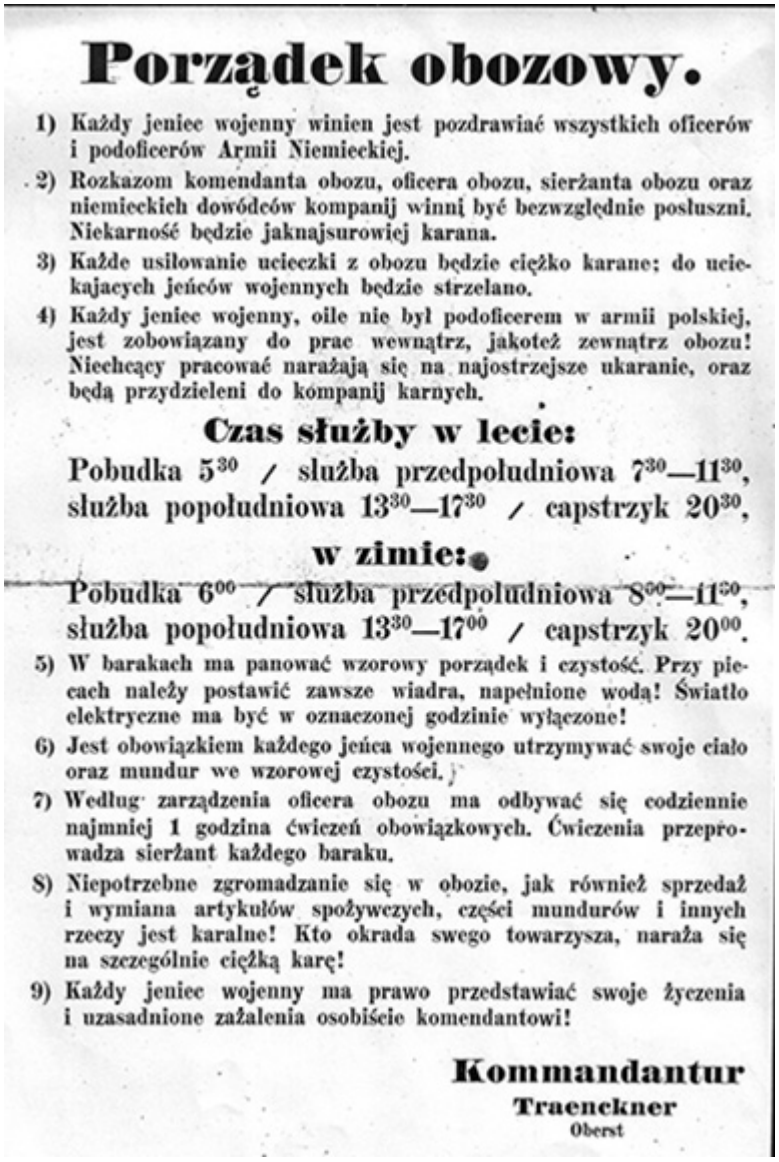

Porządek obozowy.

1) Każdy jeniec wojenny winien jest pozdrawiać wszystkich oficerów i podoficerów Armii Niemieckiej.
2) Rozkazom komendanta obozu, oficera obozu, sierżanta obozu oraz niemieckich dowódców kompanij winni być bezwzględnie posłuszni. Niekarność będzie jaknajsurowiej karana.
3) Każde usiłowanie ucieczki z obozu będzie ciężko karane; do uciekających jeńców wojennych będzie strzelano.
4) Każdy jeniec wojenny, oile nie był podoficerem w armii polskiej, jest zobowiązany do prac wewnątrz, jakoteż zewnątrz obozu! Niechcący pracować narażają się na najostrzejsze ukaranie, oraz będą przydzieleni do kompanij karnych.

Czas służby w lecie:

Pobudka 5^{30} / służba przedpołudniowa 7^{30}—11^{30}, służba popołudniowa 13^{30}—17^{30} / capstrzyk 20^{30},

w zimie:

Pobudka 6^{00} / służba przedpołudniowa 8^{00}—11^{30}, służba popołudniowa 13^{30}—17^{00} / capstrzyk 20^{00}.

5) W barakach ma panować wzorowy porządek i czystość. Przy piecach należy postawić zawsze wiadra, napełnione wodą! Światło elektryczne ma być w oznaczonej godzinie wyłączone!
6) Jest obowiązkiem każdego jeńca wojennego utrzymywać swoje ciało oraz mundur we wzorowej czystości.
7) Według zarządzenia oficera obozu ma odbywać się codziennie najmniej 1 godzina ćwiczeń obowiązkowych. Ćwiczenia przeprowadza sierżant każdego baraku.
8) Niepotrzebne zgromadzanie się w obozie, jak również sprzedaż i wymiana artykułów spożywczych, części mundurów i innych rzeczy jest karalne! Kto okrada swego towarzysza, naraża się na szczególnie ciężką karę!
9) Każdy jeniec wojenny ma prawo przedstawiać swoje życzenia i uzasadnione zażalenia osobiście komendantowi!

Kommandantur
Traenckner
Oberst

Powrotna droga z obozu w Oschatz do Zamościa

Na zachowanej kartce wielkości zeszytu, złożonej we czworo tak, by mieściła się w kieszeni munduru, Ojciec mój, Józef Wit Fabijański spisywał dzień po dniu przebyty etap, zaznaczając jednocześnie czy szli pieszo, czy jechali. Z pogrzebu Francuza, którego musieli po drodze pochować wynika, że opuścili obóz nie tylko Polacy. Jak było ich dużo? – trudno wiedzieć. Dlaczego krążyli wokół Oschatz zmieniajęc kierunek raz na wschód, raz na

zachód w gruncie rzeczy nie przybliżając się do Kraju. Cóż to była za strategia? – Rozumiem, że mogły być przeszkody natury komunikacyjnej, dróg, mostów, transportu – wszak trwały jeszcze działania wojenne. Koniec wojny nie był ogłoszony. – Może więc historykom II wojny św., badaczom wojskowości taki fakt udokumentowany zapisem jednego z jeńców, będzie przydatny, może coś wyjaśni? – Na załączonej mapie zakreślone miejscowości wykazują jakiś bezsens tej wędrówki, przedłużania udręki i niepewności. Karmienie żołnierzy złudzeniem, że wracają do ojczyzny…

Przytaczam dosłownie ten kuriozalny dziennik podając jedynie nazwy miejscowości w ich brzmieniu z mapy wydanej w Polsce w 1959 r.

POWRÓT

16.IV godz. 11-ta wyjazd z Oschatzu przez Strehlę do lasu Jakobsthal pod obóz w Zeithain (po drugiej stronie Łaby).

21.IV.godz. 21-sza wyjazd z lasu brzegiem Łaby (Elby) przez Riesę do wsi Zekwitz w niedzielę, godz. 4-ta po obiedzie.

23.IV rano godz. 8-ma wymarsz pod Oschatz do Weisdorfu.

25.IV.godz.16.30 wymarsz do linii frontowej amerykańskiej pod

Wurzen i skierowanie na Grimmę

26.IV. godz. 9-10-ta przeprawa przez Muldę. Oblanie wolności butelką wina; godz.13-ta przybycie do koszar.

29.IV. Msza św. polowa na placu.

17.V. odjazd z Grimmy za Muldę godz. 10-ta i marsz do Dübrieczen (?).

18.V. marsz przez Wernsdorf do Torgau – tam nocleg.

19.V. Triestewitz (Zielone Świątki) – przerwa na pogrzeb Francuza.

21.V. dalszy marsz do Falkenbergu.

22.V. marsz dalszy na Kirchhaln-Doberlung z postojem nocnym.

23.V. marsz Einsterwaldei nocleg w Biltten.

25.V. wymarsz w kierunku Cottbus (Chocieboża) i nocleg.

26.V. godz. 18-ta przybycie na stację i załadowanie do pociągu, odjazd nocą.

27.V. przybycie do Sorau o godz. 17-tej. Dłuższy postój i wyjazd w nocy z 29 na 30 maja do Głogowa w godz. południowych

1.VI. wyjazd godz. 18-ta przez Rawicz do Oleśnicy. Postój przez noc i wyjazd do Lublińca.

3.VI nocleg i wyjazd do Częstochowy.

4.VI Częstochowa, godz. 10-ta.

5.VI godz. 19-ta wyjazd do Kielc, nocleg.

6.VI. godz. 5-ta wyjazd do Skierniewic i dalej do Rozwadowa.

6.VI/7.VI nocleg na dworcu.

7.VI godz. 5-ta wyjazd do Lublina, przesiadka na pociąg do Zamościa

7.VI godz. 18-ta przybycie do Zamościa – (koniec DROGI PRZEZ MĘKĘ, przyp. T.F.Ż.)

Powrót do Mateńki i Januszki z Jadzią.

Wspomnienia Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej ukazują się w ostatni czwartek miesiąca.

Poprzednie części wspomnień:

> Z rodzinnego albumu. Życie pod zaciemnieniem.

> Z rodzinnego albumu. Z duchami w tle.

Zobacz też:

> Historia w karetach zaklęta

Z rodzinnego albumu.
Życie
pod zaciemnieniem.

Mama z małą Elą, Zamość 1925 r.

Teresa Fabijańska-Żurawska *(Łańcut)*

Od początku okupacji zapanowały ciemności. Te z nakazu

hitlerowców i te wypływające z konsekwencji wojny. Elektrownia miejska została rozebrana na części i wywieziona, czy też na miejscu ukryta przez jej pracowników, by nie dostała się w ręce niepowołane i nie poszła na armaty. Powszechnie obowiązywało zaciemnienie wszystkich możliwych okien, źródeł światła. Wyprodukowano nawet specjalny papier w ogromnych arkuszach i zwojach na rolety czarne, grube, nie przepuszczające ani smugi światła. Pilnowała tego policja i sypano wysokie kary, a nawet groziło więzienie, tortury na Gestapo, czy śmierć. Miasto tonęło więc w kompletnych ciemnościach i naturalnie obowiązywała godzina policyjna o dwudziestej.

Siedzieliśmy w domu w Hrubieszowie przy jednej lampie naftowej wokół sześcioosobowego stołu. Każdy coś robił. Mama cerowała skarpety babci, nasze pończochy, grube i wełniane dolne niewymowne, których był deficyt. Przerabiała i łatała nasze okrycia, ponieważ szybko wyrastaliśmy i zdzieraliśmy chodząc ciągle w tym samym. Mundurki były zakazane. Wspomniałam już o koncesji na sprzedaż papierosów, którą mama otrzymała, ale *de facto* zajmował się tym Witek. On to wystawał w kolejkach do hurtowni monopolistycznej spółki HERBEWO (od początkowych liter nazwisk trzech wspólników), działającej jeszcze przed wojną. Kto nie żył w tych czasach, ten nie będzie wiedział, jaka to była ważna sprawa dla palaczy, a większość ludzi, zwłaszcza mężczyzn paliła. Nigdy nie zapomnę tej kolejki pod kioskiem, w którym była drewniana, ładnie zaprojektowana budka wielkości

małego namiotu, z dachem namiotowym zakończonym ozdobną sterczyną. W połowie ścianek były witryny zamykane z zewnątrz okiennicami. Nie było tam ani piecyka, ani miejsca do zagospodarowania. Ot, taki letni kiosk na lody używany tylko latem. Ale z tym większego problemu nie było, ponieważ papierosów otrzymywał brat minimalną ilość. Mimo to nie uniknięto reglamentacji. Rzucała się ta wygłodniała masa obszarpanych, biednych zgłodniałych nikotyny i bijąc się, rozpychając szturmem zdobywała jak najdogodniejszą pozycję, aby tylko nie utracić tych dziesięciu sztuk najmocniejszych papierosów. Drżące, zmarznięte dłonie wyciągały się i chowały gniotąc cenną zdobycz. Stawali w kolejce jeszcze, i jeszcze raz, teraz już spokojni i syci. Pogodzeni, a nawet uśmiechający się do siebie, jakby życzliwsi dla całego świata. Sprzedaż ta nie zajmowała więcej niż godzinę, dwie dziennie. Zarobek wprost proporcjonalny do całego przedsięwzięcia. Nie wiem, czy wystarczył na opłacenie mieszkania, opał i naftę, tej z jakiegoś powodu czasem brakowało i wtedy zdani byliśmy na cuchnący karbid. Czy ktoś z młodych może sobie wyobrazić sześcioosobową rodzinę zmuszoną do wdychania cuchnąco – duszących spalin, małej, ledwie rozświetlającej mrok swym czerwonym, żarzącym płomykiem karbidówki ?

A przecież to wokół tej lampy naftowej, czy karbidowej skupiało się nasze życie, nasze rozmowy, czytanie, odrabianie lekcji, uczenie innych młodych (Ela dawała lekcje), przyjmowanie gości,

gry i zabawy, nasze pasje, zdobywanie wiedzy. Toczyło się normalne życie, chociaż ograniczone, zniewolone warunkami zewnętrznymi, ale wspaniałe i wzniosłe duchowo, intelektualnie, pełne inspiracji, nadziei na koniec wojny i powrót ojca. Wierzyliśmy w to głęboko i modliliśmy się gorliwie.

Uwielbiałam okresy, kiedy była z nami babcia Mania (mama mamy), bo zawsze przygotowała nam, a przede wszystkim mnie, sukienki przerabiane z maminych i Elinych, plotła mi warkoczyki (tylko ona potrafiła mi dogodzić) nie szarpiąc za włosy, wiązała kokardy, a dla wszystkich dzieci robiła przepyszne mleko makowe do kisielków i galaretek owocowych. Z babunią było radośniej spokojniej i nawet chłopcy mniej się kotłowali. Babunia cały czas coś robiła dla nas smacznego. Mama też w tych dniach wyglądała lepiej, śmiała się i opowiadała coś ze swojego dzieciństwa. Dużo ze sobą rozmawiały. A jeśli nie chciały abyśmy my – dzieci rozumiały, przechodziły nagle na język francuski.

Babuni poświęcę osobny rozdział, bo była to wielka osobowość, dama z urodzenia i w każdym calu. Wielkoduszna, wyrozumiała, ciepła i czuła, a jednocześnie zahartowana psychicznie i zaradna. W tym czasie przebywała najczęściej w Wiszniowie u Lili Banaszkiewiczowej (córki cioci Niusi Piątkowskiej, siostry mamy). Rodziły się wtedy kolejne dzieci: Maryla, Andrzej (Ijunia i Eni) oraz Zosia.

Gdy nie było babuni, podporą naszej rodziny stawała się doroślejsza Ela. Filar nie tylko psychiczny, ale i moralny. Wymagająca od młodszego rodzeństwa dyscypliny, wykonywania obowiązków i bycia w domu na czas. Bardzo nie lubiła zwłaszcza moich wybiegów do sąsiadów i to od niej miałam ksywkę „latawiec". Nie powiem, żebym się tym przejmowała. Ciekawość życia ludzi, którzy mieszkali obok, ich obyczajów, przyznaje, trochę odmiennych od naszych, właśnie mnie pociągała. Eli zakazy i skarżenie do mamy nie pomagały. Do pokornych nie należałam.

Ela była bardzo zajęta. Uczyła się i pracowała w placówce Polskiego Czerwonego Krzyża prowadzonej przez doktora medycyny, Władysława Kuczewskiego, pełniącego również bardzo istotną dla ludności rolę lekarza powiatowego. Pod koniec wojny zabił go Ukrainiec, który udał pacjenta. Cóż to za stratę poniosło całe społeczeństwo. Wypisywał dla swego zabójcy ostatnia receptę. Zginął 28 grudnia 1943 r. Sroga zima, chłód i ziąb niepowstrzymany tłumów dorosłych i dzieci Polaków i Ukraińców w oddaniu hołdu temu wielkiemu człowiekowi, któremu tak wielu, tak wiele zawdzięczało.

Zziębnięta w moim przykrótkim paletku przerobionym jeszcze w 1939 roku z mamy płaszcza i w chuście szydełkowej, uczestniczyłam w pierwszym w życiu pogrzebie, wstrząśnięta, przejęta do szpiku kości. Nie był to zwykły pogrzeb. Ta

manifestacja patriotyczna wyrażała sprzeciw wojnie, Niemcom, zniewoleniu, bezprawnemu panoszeniu się na polskiej ziemi, nienawiści wznieconej i podsycanej przez okupanta. Ale to był zaledwie początek. To co najgorsze miało dopiero nadejść.

***

Wojska niemieckie koncentrowały swe siły wzdłuż linii Bugu. Codziennie transporty przejeżdżały przed naszymi oknami. Zdarzało się, że zabierano nam jeden pokój z niezależnym wejściem na kwaterę dla oficera. Mama mówiła biegle po niemiecku, co było dobrze przyjmowane. Niemieccy wojskowi zachowywali się wtedy uprzejmie i załatwiali sprawę spokojnie. Mieliśmy okazję oglądać ekwipunek jednego z bardzo przystojnych oficerów, jakiegoś Ober, zapewne arystokraty, który jechał na front ciężko przestraszony, pierwszy raz. Był przerażony mrozami, chociaż puchowy, błękitny śpiwór nie powinien był go peszyć. Po południu gdzieś wyszedł, powiedział mamusi, że wróci wieczorem. Moi bracia i ich koledzy zaraz zabrali się do sprawdzania co ma w bagażu, przymierzali jego pasy z kaburami i w ogóle rozdokazywali się, jakby nie było wojny. Mama mało nie zemdlała. Błagała, żeby nie ruszali niczego, że lada chwila może wrócić, ale do moich braci te argumenty nie docierały. Żeby takich rzeczy uniknąć, mama pisała na drzwiach kartkę: „uwaga! tyfus!” i to pomagało. Przynajmniej Niemców nie musieliśmy już nocować.

Nowa wojna szykowała się ewidentnie. Żyliśmy strachem. Na szczęście istniał już kontakt z ojcem, który po wzięciu do niewoli przez Sowietów w nocy z 17 na18 września 1939 roku w okolicach Równego, czy Dubna i po siedmiu tygodniach wożenia po terytorium Rosji (w towarowych wagonach zaplombowanych, na mokrych liściach zamiast jakiegokolwiek posłania) – odnalazł się w Stalagu, w obozie jenieckim w Saksonii, w miejscowości Oschatz między Lipskiem, a Dreznem.

Pierwsza wiadomość – kartka od ojca przyszła w styczniu 1940 r. Równocześnie chyba poszukiwania przez Polski Czerwony Krzyż potwierdziły tę radosną dla nas wiadomość. Ojciec żyje.

Dość regularnie kursowały listy na specjalnych, podwójnych składanych blankietach, ocenzurowane przez władze niemieckie, wojskowe. Na połowie pisał tata, na drugiej odpowiadała mama. Istniały też takie karty otwarte. Zachowało się tej naszej wspólnej korespondencji ponad tysiąc dwieście, z sześciu lat wojny, z przerwami, gdyż poczta zamierała. O tym chciałabym bardziej szczegółowo napisać przy okazji powrotu ojca z niewoli.

Mama posługiwała się swoistym językiem – szyfrem. Pisała po polsku, bo było wolno, ale pewne wiadomości przemycała w taki sposób, że tylko ojciec mógł zrozumieć. Wiosną 1941 r. atmosfera AK zmieniała się z tygodnia na tydzień, że wszyscy oczekiwali nie wiedząc jednak dokładnie, co się stanie. Byliśmy w

najbardziej niebezpiecznym miejscu. W prostej linii parę kilometrów od Bugu i przestrzeń otwarta. Nie mieliśmy dokąd uciekać. Czekaliśmy więc na to, co się stanie.

22 czerwca pamiętnego roku nikt nie położył się spać. Sąsiedzi przenieśli się do rodzin, gdzie uważali, że będzie bezpieczniej. Pusto wokół i tylko my sami w naszym mieszkaniu na pierwszym piętrze, wgapieni w weneckie okno, podnieceni oczekiwaniem. Noc czuwania i zachwytu. Bezchmurne niebo zaczyna świtać. Coraz jest jaśnie, pierwszy brzask. Trzecia nad ranem. Nagle niebo zapełniło się płomienistymi kulami, które zakreślają parabolę i spadają na ziemię wołyńską wydając głuchy, mocny pomruk. Wybuchy już seryjne, najpierw coraz mocniejsze, potem jakby słabsze i z większej odległości. Patrzyliśmy na to zjawisko z takim niemym podziwem, że o strachu nikt z nas nie myślał. Widok wspaniały! Punkt obserwacyjny najlepszy z najlepszych. Trwało to cztery godziny.

Nie było odwetu. Sowieci zaskoczeni, a może celowo, puścili Niemców w głąb. A ci szli i szli bez oporu. Gdyby dali odwet, byłoby po nas.

Zrobiła się cisza, a mama siadła do pisania listu do ojca, do Oschatz używając takich słów:

> …to, co miało być, już przeszło, dzisiaj w nocy. Jest siódma rano, spokój i wszystko dobrze…

Ten spokój był jednak pozorny i na krótko. Efektem niemieckiej inwazji na ZSRR był wielki niepokój i wzmożony ruch taborów wojskowych, które z Zamościa, przez Hrubieszów, dokładnie przed naszym oknem przesuwały się na wschód. Kolumny samochodów z wojskiem, czołgi, działa pancerne, kuchnie polowe i cały transport potrzebny wojsku. Moi bracia, jak to chłopcy, przyglądali się z zainteresowaniem, może nawet z podziwem. Tego jeszcze nie widzieli w żadnej encyklopedii i na żadnym znaczku pocztowym. Julek siedział ciągle w oknie i liczył. Od czasu do czasu wykrzykiwał: *naliczyłem sześćdziesiąt, ale one jeszcze jadą*. I jechały.

Nie było już granicy na Bugu. Ożyły kontakty ludności cywilnej z obu stron. Kwitł przede wszystkim handel wymienny. Na wygon, gdzie było dużo miejsca dla ciężarowych samochodów, przyjeżdżały zagrabione ze sklepów towary takie, jak kołdry, koce. Kupowała je ludność za pieniądze niemieckie, okupacyjne lub wymieniając za żywność i bimber.

Nazwa „wygon” pewnie wzięła się stąd, że część nieużytków pokryta zieloną trawą i chwastami m.in. ptasim rdestem i gęsiówką, służyła do wypasu niezliczonych stad gęsi należących

do właścicieli domków jednorodzinnych, rozsiadłych półkolem. Miało to typowo wiejski charakter, malowniczy i archaiczny. Niektóre domy kryła strzecha ze słomy, przed wejściami ogródki mieniły się barwnością różnych kwiatów. Słoneczniki i malwy dominowały wysokością i pięknie odbijały kolory na białym tle ściany. Ten zaciszny zakątek, zamienił się w grząskie, błotne targowisko.

Ela – moja siostra Elżbieta z Fabijańskich Świdzińska, nasz psychiczny filar podczas okupacji

Druga część Pobereżan nadawała się tylko do zjeżdżania na

sankach. Duże, lejowate, kacze doły, mogły być pozostałością po pierwszej wojnie światowej, lub wyrobiskami gliny. Dziwne to było ukształtowanie. Dzisiaj teren ten jest zabudowany. Od Zamościa jadąc widzi się po obu stronach ciągłą zabudowę długiej, kilkukilometrowej ulicy. Dom, w którym przyszło nam przetrwać okupację i pierwszy rok, stoi i ma się dobrze. Jest zadbany, balkon otrzymał dekoracyjną balustradę i dzięki niej dalej wyróżnia się urodą, zgrabnej, przedwojennej architektury.

Od początku okupacji ludność cywilna była w różny sposób zastraszana. Łapano znienacka młodzież gimnazjalną, która nosiła obowiązujące przed wojną mundurki, a zimą płaszcze. Guziki u nich stały się powodem represji. Żandarmi prowadzili takiego chłopaka do punktu w urzędzie niemieckim, gdzie w brutalny sposób obcinano błyszczące guziki wraz z tkaniną, niszcząc w ten sposób jedyne okrycie. Spotkało to Witka. Byłam z nim wtedy i nie opuściłam biegnąc szybko za nim, eskortowanym przez dwóch Niemców. Szarpał się, więc go boleśnie przytrzymywali, jak boleśnie, świadczyły o tym pozostawione sińce. Po ceremonii obcięcia guzików – puścili. Ale ja już zdążyłam mamę zawiadomić i poszła po niego.

Dziewczęta nosiły granatowe berety ze znaczkami: książka i kaganek oświaty – odznaki noszone przez uczennice obowiązkowo. Na lewych rękawach mundurka dziewczęta i chłopcy nosili tarcze z numerem szkoły. Pole niebieskie

oznaczało – gimnazjum, pole czerwone – liceum. Te emblematy wyróżniały i identyfikowały uczniów pod kątem szkoły – nie miały, żadnej wymowy ani politycznej, ani patriotycznej. Ale okupantom tak przeszkadzały, że zdzierali je na ulicach, budząc lęk niewinnej młodzieży. Nikt nie wiedział, o co właściwie chodzi. Zapewne chodziło o zastraszanie i podporządkowanie ludności cywilnej. Szefem Gestapo był sadysta, powszechnie zwany Blondynkiem. Aresztowania, represje, znęcanie się coraz gwałtowniejsze, coraz bardziej okrutne spowodowały akcję partyzantów i likwidację tego okrutnika. Odwetem za karę były jeszcze większe aresztowania i znęcanie się nad zakładnikami.

Codziennie wywieszano listy, kilkunastu lub kilkudziesięciu osób rozstrzelanych, listy zakładników, którzy nigdy nie wrócili do rodzin, codziennie były jakieś obwieszczenia represjonujące ludność cywilną. Wreszcie w 1942 r. zaczął się pogrom ludności żydowskiej. W Hrubieszowie było bardzo dużo Żydów. W zgodzie żyły obok siebie trzy nacje wyznające inną religię. Katolicy mieli swój kościół parafialny, dawniej klasztorny pod wezwaniem św. Mikołaja, a na tej samej ulicy *vis -a- vis* prawosławni chodzili do pięknej cerkwi ufundowanej przez rząd carski w 1873 r. Żydzi wyznania mojżeszowego mieli swoją synagogę w centrum, niemal przy rynku. Mieszkali wszędzie, chyba tylko na przedmieściu Pobereżany ich nie było, gdyż ta część miała charakter swoisty, bardziej rolniczy niż miejski. Życie handlowe, oprócz ciągu sklepów na schodach, u wjazdu do Rynku (za

okupacji wielobranżowy, najelegantszy magazyn Gajzera) – skupiało się na placu targowym i w uliczce wąziutkiej z ciągiem jatek zwanych „sutki”. Właściwie mieściły się tam różne sklepiki i kolonialne i rybne.

Przypominały one handlowe dzielnice miast w południowych krajach Europy. Drzwi obok drzwi, żeliwne wzmocnione kutymi sztabami, zamknięte na kłódki. Nie miały witryn. Towar rozwieszano na hakach po otwarciu. Wylewał się na zewnątrz obfitością i różnorodnością. Można było kupić tam wszystko: od landrynek, lizaków, czekolady, korzeni, bakalii do koszyków, szczotek i wyrobów blacharskich.

Malowniczość tego zaułka niepowtarzalnego, jedynego w swoim rodzaju, uzupełniały postaci kupców żydowskich w czerwonych chałatach i myckach na rozwichrzonych włosach. Przeważnie byli to ludzie starsi. Kobiety – przekupki siedziały w innym miejscu, gdzie było kilka drewnianych straganów. Rozkładały tam worki pełne rozmaitych, kasz, grochu, fasoli, suszu owocowego, obok leżały warkocze cebuli i czosnku. Tę różnorodność płodów urodzajnej ziemi hrubieszowskiej uzupełniały ogromne słoje z ogórkami kiszonymi i… pijawkami. Zawsze mnie okropnie brzydziły. Obrazu tego nie zmieniła nawet zimowa pora roku, ponieważ na zimno była rada. Kupcowe handlowały na siedząco, pod spódnicą chowały żeliwne sagany pełne rozżarzonych węgli drzewnych, przynoszonych z piekarni i z takim „piecykiem”

wytrzymywały nawet kilkustopniowy mróz. Na głowach miały rude peruki, ręce chroniły rękawiczkami, które nie miały końców palców, żeby łatwiej było liczyć pieniądze.

Zapamiętałam także specyficzną woń, jakby swąd z węgielków mieszał się z zapachem śledzi w beczkach, zamorskich korzeni, rodzinnego makagigi i waniliowych karmelków. Dziwne, jak zapach może wtopić się w obraz i wtedy jedno z drugim jest już nierozłączne.

Kres temu folklorowi miasteczka położyli hitlerowcy najpierw tworząc getto, później dokonując zagłady ludności żydowskiej. Stało się to w 1942 roku. Wszystkim wyznawcom Mojżesza kazano się przenieść do dzielnicy zwanej Wójtostwo, która znajduje się po wschodniej stronie, za Huczwą. Opuścili więc swoje domy, według współcześnie wydanych opracowań (Grzegorz Rąkowski, Polska egzotyczna II, wyd. Pruszków 2000, s. 240), w maju i w czerwcu 1942 roku skupiono tam ok. 10 000 Żydów z całego powiatu. Wywożono ich potem do obozu zagłady w Sobiborze. Na hrubieszowskim kirkucie rozstrzelano ok. 500 osób.

Opustoszałe domy w Rynku i okolicy oddano miastu do zagospodarowania. W jednej z kamieniczek zorganizowano szkołę, jeżeli dobrze pamiętam, na cztery klasy na parterze. Tam uczyłam się do końca piątej klasy. Warunki były trudne, salki

małe, ciasne, ciemnawe i zimne. Na lekcje religii chodziliśmy do kaplicy grobowej przy szkolnym kościele św. Stanisława Kostki. Ziąb i wilgoć wyciągały nas na cmentarz. O, jak dobrze było w promieniach słońca pogrzać się pod murem, bodaj przez chwilę i pochrupać prażony groch.

Pewnego dnia na skwerze przed kościołem, zniszczonym kompletnie, pojawiła się ogromna góra mebli, raczej gratów starych i zniszczonych, z pociętymi i wyprutymi materacami, z których wysypywało się końskie włosie, sprężyny i trawa morska. Prócz kanap, stołów, krzeseł, foteli leżały gary, sprzęt kuchenny i na samym szczycie tego stogu może przeznaczonego do podpalenia, znajdowała się beczka drewniana, dość duża. Wyglądała normalnie, jak te w sklepach po śledziach, ale od wewnątrz miała gęsto nabite gwoździe. Mówili, że służyła do spuszczania krwi, aby przyrządzić koszerne jedzenie. Czy to prawda?

Codziennie patrzyliśmy na nią snując naturalnie różne wizje. Trzeba powiedzieć, że chociaż dzieci nie wiedziały co stało się z ludnością żydowską, bały się o swoje rodziny, o nauczycieli, o siebie. Lęk towarzyszył nam każdego dnia, przecież wieści były straszne. Ciągle ginęli ludzie.

Zimą 1943 r. Niemcy przeprowadzili wysiedlenia polskich wsi, na ich miejsce sprowadzając osadników niemieckich z różnych

państw europejskich. Działania tej akcji zostały zatrzymane dzięki ruchowi oporu, który w hrubieszowskim był bardzo silny.

Armia Krajowa od końca 1942 r. zaczęła przeprowadzać akcje bojowe w terenie. Nieszczęściem dla Polaków byli nacjonaliści ukraińscy podjudzani przez Niemców. Na tych południowo-wschodnich terenach oni stali się wrogami. W 1943 r., gdy pojawiły się bandy UPA przybywające zza Bugu, nasiliły się mordy polskiej ludności. Przeciwstawili się temu zbrojnie polscy partyzanci. Zaczęły się wzajemne akcje wyniszczające całe wsie, i polskie i ukraińskie. Apogeum tego nastąpiło w marcu 1944 r.

Z naszego okna widzieliśmy codziennie po kilka pożarów. Jasno robiło się w naszym mieszkaniu. Płonęły budynki mieszkalne, zabudowania gospodarcze, stodoły, plony, bydło i cały dobytek. Zabijano bestialsko kobiety i dzieci.

W kwietniu przywieziono Traczuka, polskiego gospodarza, naszego sąsiada, w którego domu bawiłam się często, bo miał córkę w moim wieku. Żona jego co niedzielę chodziła do kościoła na sumę. Czy był mróz czy słota, wkładała czarne karakułowe futro i tak paradowała przez Pobereżany. Traczuka wraz z innymi gospodarzami wzięto na tak zwany „forszpan” czyli przymusowe roboty transportowe. Musiał stawiać się wyznaczonego dnia, o podanej godzinie i przepracować na rzecz okupanta ileś tam godzin, dniówkę. Zdarzało się to regularnie i

nie było niczym podejrzanym. Tak się stało i tym razem, ale po raz ostatni.

Pojechało ich nie wiem, kilkunastu, może mniej, jak zwykle na określone roboty. Nie znam okoliczności, ani szczegółów i nikt o tym dotąd nie napisał, więc zrelacjonuję, co wtedy mówiono i co widziałam. Zwęglony kadłub ciała ludzkiego, brązowy i przypominający kłodę drewna. Nie było rąk ani nóg, ani głowy. Zawinięty w brudną płachtę leżał na podłodze w kuchni. Traczukowa rozpoznała męża po łacie przy zajęciu spodni, którą sama niezbyt starannie przyszyła. Przyciśnięty paskiem skórzanym strzęp ubrania stał się znakiem rozpoznania, identyfikacji. Człowiek bez głowy, nóg i rąk. Spalony w stodole w Masłomęczu. Warstwa ludzi, warstwa słomy i duża stodoła z drewna. Co za pochodnia! Co za głowa to wymyśliła – kto zbrodniarzem, kto katem?

Zginęli zwykli chłopi, rolnicy półmiejscy, półwiejscy. Pojechali do pracy z rozkazu okupanta, nie do walki. Nigdy nie słyszałam aby ktokolwiek później o tym mówił.

Ciśnie się jednak historyczne pytanie: ile było takich stodół, ilu spalono Polaków?

Wioska Gotów w Masłomęczu, skansen

Masłomęcz w województwie hrubieszowskim stał się słynny, ze względu na odkrycia wykopaliskowe sprzed 25 lat. Odkryto tu osadę Gotów z II-IV w. n. e. N. Pojawili się oni 180 lat po Chrystusie i właśnie tu, nad Huczwą zbudowali potężna cywilizację. Znali technikę powlekania metalu innym metalem, budowali piętrowe domy z kanalizacją, znali jedwab. Jedną z tajemnic Gotów jest dziwny rytuał pochówku, z wkładaniem do grobów niekompletnych ciał. Na odkrytym w Masłomęczu cmentarzysku, zdecydowaną większość ciał stanowiły kobiety i dzieci. Archeologowie określili tę pozbawioną męskiej populacji społeczność mianem – „Amazonki z Masłomęcza”.

Wspomnienia Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej ukazują się w ostatni czwartek miesiąca.

Poprzednie części wspomnień:

> Z rodzinnego albumu. Z duchami w tle.

> Z rodzinnego albumu. Stara szkoła.

> Historia w karetach zaklęta

Z rodzinnego albumu.

Z duchami w tle.

Rynek w Hrubieszowie na dawnej pocztówce

Teresa Fabijańska-Żurawska *(Łańcut)*

Wszędzie było bardzo niebezpiecznie. Na wsiach, zwłaszcza w dworach polskich każda noc była niepewna, pełna lęku. Przychodzili zbrojni partyzanci po prowiant, ale nigdy nie było wiadomo, którzy na ten raz – swoi czy obcy, akowcy czy upowcy. Wezmą dobrowolnie czy siłą i czy z życiem zostawią?

Rodziny z dziećmi poprzenosiły się do miasteczka, zajmując puste domy po Żydach. Lila z dziećmi też się przeniosła. Wacek wynajął dla nich pół drewnianego domu, bardzo sympatycznego, przy ulicy Chełmskiej, koło starej szkoły. Oba zabytki stoją do dzisiaj. Sam dzielnie wytrzymywał. Jako właściciel majątku ziemskiego Wiszniów pod Hrubieszowem, był znakomitym gospodarzem i fachowcem. Dzięki niemu i my od czasu do czasu otrzymywaliśmy coś z dóbr. Bardzo dbał o rodzinę i szalenie kochał swoje śliczne dzieci – Ijunię (Marylę) i Eniego (Andrzeja).

Na naszym przedmieściu pojawiło się kilka rodzin przybyłych z Poznania i z Warszawy. Natomiast wyjechali Wojtysiakowie, właściciele domu, w którym mieszkaliśmy, chyba dlatego, że on był granatowym policjantem. Do ich mieszkania przyjechała gromadka dzieci państwa Andrzeja i Marii Komornickich i syn państwa Szułdrzyńskich z opiekunką, starszą, nobliwą panią. Przywieziono ich końmi z odległego o 17 km majątku Mircze. Najstarsza Enia – moja rówieśnica i czterech chłopców: Iko, Tunio, Boba i Zyg – w kolejności urodzenia – dostarczali mnie i bratu Julkowi wielu przeżyć i wspomnień.

Ot, chociażby niezwykle obchodzony dzień św. Mikołaja. Przyznam, że z taką tradycją, jeśli to tradycja, nie spotkałam się nigdy i nigdzie. Każde dziecko otrzymało jako prezent coś w rodzaju przebrania na głowę, charakteryzującego jego wadę, np. Boba dostał ośle uszy, pięknie wykonane z papieru i bibułki,

zapewne przez guwernantkę. Iko – długi język przyczepiany co brody, a Tunio – knebel. Co dostała Enia, co my oboje z bratem? – nie pomnę. Oczywiście wszystkie dzieci dostały woreczki z pierniczkami, Mikołajem i słodyczami domowej, dworskiej kuchni. Byliśmy uszczęśliwieni i pamiętamy to zdarzenie do dzisiaj.

W końcu sierpnia, w piękne lato 1943 r. przysłano po nas konie z Mircza. Pojechaliśmy na proszony obiad do dworu. Pewnie była to jakaś szczególna okazja, ale nie wiem jaka. Może imieniny pani Marii Komornickiej w Matki Bożej Częstochowskiej? – Podjechaliśmy pod duży, piętrowy budynek, który nie przypominał w niczym polskiego dworu, raczej miejską kamienicę. Powiedziała mi Enia, że stary dwór spalił się chyba podczas I wojny światowej, a to był budynek administracji majątku. Mieszkała tam, mimo niebezpieczeństwa, pani Kisielnicka, matka pani Komornickiej i ona była główną gospodynią, podejmującą małych gości. Zasiedliśmy przy dużym stole w obszernej jadalni na pierwszym piętrze. Otaczał nas ogród, park ze starymi drzewami, które zawsze uwielbiałam. W jadalni panował przyjemny chłodek, otwarte były szeroko okna. Wnoszono potrawy zaczynając podawanie ode mnie. Nie bardzo zdawałam sobie sprawę z tego co to znaczy i przy deserze popełniłam „faux pas”, nakładając ogromną porcję kremu, który w wojennej rzeczywiści był czymś nadzwyczajnym i mogło go zabraknąć dla innych. Julek słusznie był oburzony i zawstydzony

moim brzydkim zachowaniem. W domu naskarżył na mnie do mamy i powiedział, że przyniosłam mu wstyd i więcej ze mną nigdy już nie pojedzie. I nie pojechał, bo nie było okazji. Czułam się okropnie. Jaka egoistka! To była nauczka na całe życie.

***

Dla wypełnienia czasu wieczorami, w okropnie długie, zimne zimy i aby mieć kontakt z ludźmi urządzało się „herbatki” bez herbaty. Piło się napar z suszonych skórek jabłkowych, wiecznie zalegających na kuchennej płycie, które dawały bardzo przyjemny zapach w całym domu. Nie daj boże, gdy się spaliły!

Gości częstowano niezmiennie sałatką jarzynową z dużą ilością gotowanych ziemniaków, buraczków ćwikłowych, marchewki i małej fasoli. Miała różowawy kolor bardziej lub mniej mocny, w zależności od ilości śmietany. Niektóre panie dawały ogórek kiszony, zdecydowanie zaostrzający smak. Luksusem okupacyjnym był fasolowy tort, polska specjalność od Warszawy po Hrubieszów. Robiło się też „cukierki” na czas świąteczny z mielonych płatków owsianych, masła, cukru i jeśli było kakao, obtaczano w tym specjale. Formowane na dłoni kuleczki wielkości orzechów włoskich, należało potrzymać na zimnie. Czegoż to ludzie nie wymyślili, żeby życie przybliżyć do normalności!? „Herbatki” sprzyjały kontaktom, zdobywało się wiadomości z frontu, czytało się podziemne gazetki. Były też

wieczory poezji, seanse spirytystyczne, czasem potańcówki przy patefonie i przedwojennych płytach. Chociaż w naszym domu była gromadka młodzieży, mama nigdy na tańce nie pozwoliła uważając, że na taką rozrywkę czas nie jest odpowiedni. Jednak pomogła Jasiowi Piątkowskiemu zorganizować bal karnawałowy w Czumowie, na który pojechała Ela.

Mama Eleonora de Schmieden-Kowalska w czasach panieńskich na balu w Czernichowie w stroju Greczynki

Przygotowania do tego balu nad balami odbywały się wieczorami u nas i trwały dość długo ponieważ robiło się ręcznie śliczne,

kolorowe, pracowite kotyliony. Czy dzisiejsza młodzież wie co to takiego? – Z lśniących wstążek zakupionych u Gajzera, z mini figurek gipsowych czy artystycznych główek wykonywało się identyczną parę ozdób różnych kształtów i pomysłów artystycznych, które wybierały panie osobno, panowie osobno. Los szczęścia lub pech łączył dwa identyczne kotyliony w parę, która obowiązkowo musiała przetańczyć „kotylionowego walca", a mogła i resztę tańców przetańczyć razem, jeśli się poszczęściło. Pamiętajmy jednak, że do dobrych manier wychowania towarzyskiego należało zatańczyć chociaż jeden taniec z każdą panną. Nie było więc „skrobiących pietruszkę", nie było też zwyczaju, aby panny tańczyły ze sobą lub indywidualnie. Te zwyczaje wzięły się już grubo po wojnie, chyba z braku partnerów. Kotyliony były atrakcją pełną emocji, zwłaszcza w momencie odkrywania losowego partnera i pamiątką, która zostawała po balu wraz ze wspomnieniami. Eli kotylion, bardzo piękny, długo plątał się w szufladzie, a przedstawiał diabełka z widłami na czerwono-czarnej wstążkowej rozecie.

W przeddzień balu smażono u nas pączki tzn. robiła je moja mama, a my niby pomagaliśmy. Ileż to było emocji z powodu ciasta, które najpierw nie chciało rosnąć, a potem rosło zbyt szybko. Nie wolno było chodzić, ruszać się, a nawet głośno mówić, bo to wszystko miało wpływ na udane lub nie udane, drożdżowe ciasto. Udało się wspaniale, choć lukier robiony w Czumowie zgrzytał pod zębami z powodu nowej donicy

(makutry), która puściła rdzawą mączkę.

Dzisiaj myślę, że te przygotowania dały nam więcej radości niż sam bal w pałacu, pełnym niemieckiego wojska. Tyle, że granica na Bugu zimą 1942 r. już nie istniała. A Jaś zaraz potem wyjechał do Lwowa na Politechnikę. Latem pojechała do Czumowa ciocia Milusia z Warszawy i my z Julkiem po kolei spędzaliśmy tam wakacje. Niestety, nie były już takie, jak te sprzed wojny.

Po tym sławetnym balu, zaczął u nas bywać kolega Jasia – Henryk Podwiński zwany Bocianem (może to był pseudonim partyzancki?). Pojawienie się tego drągala, blisko dwumetrowego, ożywiło na jakiś czas życie towarzyskie w naszym domu. Pełen humoru, dowcipnych pomysłów zabawiał nie tylko młodzież, np. wykorzystując swoją sylwetkę do chińskich cieni, które prezentował za pomocą szczotki do zamiatania podłogi, kapelusza i płaszcza. Czarne, okupacyjne zasłony na okna doskonale spełniały rolę ekranu, a przy migotliwym, nikłym świetle lampy naftowej, odbijająca się sylwetka dawała złudzenie ruchu. Heniek grał tajemniczego mężczyznę, który rósł w oczach, kapelusz balansował na kiju, a ramiona unosiła szczotka, oczywiście niewidzialna pod płaszczem. Gibał się, pochylał, rósł i malał karykaturalnie, a my pękaliśmy ze śmiechu. Od czasu, gdy wstąpił do AK słuch po nim zaginął Poszedł do lasu przygotowywać się do walki o Polskę. Podczaj tej wojny wyginęła nasza najwspanialsza młodzież.

Niepowetowane straty!

W tym czasie, w środku wojny, cała nasza czwórka uczyła się. To, mimo wszystko, były najspokojniejsze dla nas lata (1942-43) i kontakt z ojcem był nieprzerwany. Tata przysyłał nam swoje paczki z PCK (Portugalskiego Czerwonego Krzyża), w których bywało kakao, czekolada, kawa, chałwa, jakieś szprotki czy sardynki, coś z ubrania wojskowego np. ciepłe skarpety dla chłopców czy uniwersalne podkoszulki. Część tych prowiantów mama sprzedawała, aby uzyskać grosz na opłaty i opał, część zostawiała dla nas.

Kiedy było w miarę normalnie, mama starała się o kontakty towarzyskie dla starszego rodzeństwa. Przychodzili do nas z wizytą państwo Iwaszkiewiczowie z Poznania. Pani w wieku mamy, czyli średnim, bardzo miła, inteligentna i rozmowna oraz dwoje dorosłych prawie dzieci: starsza Jasia i młodszy nieco, bardzo przystojny Romek. Wtedy po podwieczorkowej herbatce, przygotowywało się okrągły stolik bez gwoździ, papier wycięty na kształt stolika z amerykanki do bilansów dla księgowych, na którym w krąg wypisane były ołówkiem wszystkie litery alfabetu, cyfry od 0-9, chyba rzymskie i dwa słowa na średnicy koła: „tak” i „nie”. Do tego konieczny był talerzyk średniej wielkości z zaznaczoną wyraziście strzałką.

Dorosłe osoby, przeważnie w liczbie 6-7 siadały ciasno wokół

stolika trzymając opuszki palców na odwróconym talerzyku. Zewnętrzne palce musiały stykać się ze sobą. Wybierano medium i zaczynał się seans spirytystyczny czyli wywoływanie duchów. Niesamowita atmosfera skupienia, kompletna cisza, prawie ciemno, tylko dwie świeczki choinkowe, konieczne do odczytywania odpowiedzi. Twarze pełne napięcia, ledwie rozpoznawalne. Ja w kącie na kufrze pełna strachu, ale i ciekawości.

– Duchu, duchu, przybądź. – Duchu, ducha, czy jesteś? – talerzyk zaczyna wyprawiać brewerie, jeździ po całym papierze, wreszcie trafia na słowo „tak”. – Duchu, duchu, kim jesteś? – „P I Ł S U D S K I”. – Duchu marszałka powiedz nam, kiedy skończy się wojna?

I tu następowała konsternacja, bo nigdy odpowiedzi nie były zadowalające, a wręcz później posądzano, że ktoś za mocno ciągnął za talerzyk. No i tak pewnie było.

Zadawano kolejne pytania śledzono odpowiedź, która wcale nie była ani jednoznaczna, ani łatwa do poskładania z poszczególnych liter. Czasem wszystkie odpowiedzi były tak zagmatwane, tak niezrozumiałe, że mama pojawiała się z zakamarków kuchni, bo nigdy nie brała w tym czynnego udziału i przerywała posiedzenie proponując np. kisielek. Oznaczało to: koniec seansu.

Była zima 1942 r. Wszyscy pragnęli zakończenia wojny i to jak najszybciej, na najbliższą wiosnę. Pamiętam dobrze, bo szok był niesamowity – duch wskazał „maj 1945″. Nikt nie uwierzył.

Za sprawą ducha dowiedzieliśmy się także kiedy wróci ojciec. Strzałka powoli, ale bardzo zdecydowanie i wyraźnie wskazała „14 czerwca 1945”. Znowu nie uwierzyliśmy, a nawet była dyskusja czy prawidłowo odczytano, czy to nie matactwo jakieś z talerzykiem. Było to przecież niemożliwe. Znowu szok, bo data była precyzyjna! – I cóż powiedzieć? – męczyliśmy duchy dla własnej niecierpliwości i z ciekawości, a i tak nie dawaliśmy wiary. Słusznie kościół katolicki zakazuje. Nie wolno tego czynić. Pierwszy to był i ostatni raz.

Jaś (Jan) Piątkowski ur. 1922 r.syn Józefa i Marii z de Schmieden-Kowalskich. Po śmierci matki był odpowiedzialny za gospodarkę Czumowa.

Lila (Maria Piątkowska). To jej ślub w Hrubieszowie w 1938 r. z Wacławem Banaszkiewiczem. Byli właścicielami Wiszniowa.

Jan Piątkowski miał w pałacu duży pokój, gosposię i czasem tam bywał. Studiował we Lwowie na Politechnice i został konstruktorem statków. Całe życie przepracował w stoczni gdańskiej, jako inżynier-konstruktor. Lila Piątkowska i Wacław Banaszkiewicz mieli pięcioro dzieci: Maryla – Maria (Ijunia), Andrzej (Eni), Zosia (zmarła w dzieciństwie), Maria i Jan. Żyje troje: Maryla w Bielsku-Białej, Andrzej w Gliwicach i Jan w Krakowie.
***

W małym Hrubieszowie świetnie pracowała kilkunastoosobowa grupa pracowników Polskiego Czerwonego Krzyża (PCK) ze wspominanym doktorem medycyny Władysławem Kuczewskim z Kryłowa. Eli zadaniem m.in. była opieka nad polskimi jeńcami przebywającymi zarówno w Oflagach, jak i w Stalagach niemieckich. Przychodziły listy z adresami konkretnych osób i tym zgłoszonym wysyłało się imienne paczki żywnościowe, zwłaszcza przed świętami katolickimi.

Organizowana akcja musiała mieć charakter konspiracyjny i angażować nie tylko osoby pewne i zaufane, ale i chętne do działalności charytatywnej. W skład każdej paczki wchodziły cwibaki, takie wysokokaloryczne suchary, które piekła prywatna

piekarnia na ul. Kilińskiego (dzisiaj budynek ten już nie istnieje). Ciasto z białej, pszennej mąki zawierało dużo jaj, było dość pulchne i słodkawe. Formowało się najpierw ogromny placek, potem kroiło w prostokąty wielkości standardowych sucharów, pieczonych dla wojska. Żeby pulchne ciasto nie puchło, trzeba było je równymi rządkami nakłuwać widelcem. Cała nasza rodzina chodziła pomagać do piekarzy przygotowywać je. Prace szły taśmowo i w ścisłej kolejności, partiami na bieżąco i do pieca. Moim zadaniem było nakłuwanie. Właziłam po stołku na wysoki, piekarski stół i dziurkowałam. Jednak Julek robił to dużo szybciej. I dobrze, bo tych sucharów było dużo. Piekarnia piekła je całą noc. A my gdzieś tak, przed północą wracaliśmy chyłkiem do domu uważając, żeby nie natknąć się na patrol niemieckich żandarmów.

Drugi raz w życiu przeżyłam godzinę policyjną narzuconą Polakom przez generałów: Jaruzelskiego i Kiszczaka. Ta ostatnia, w stosunku do okupacyjnej była groteską, tyle, że bardzo irytującą. W kolejnych wspomnieniach opowiem moje silne przeżycie pierwszego dnia stanu wojennego z grudnia 1984 roku.

***

W okresie zimowych ferii (były tylko jedne dwutygodniowe od 23 grudnia do 7 stycznia) przygotowywaliśmy konspiracyjne „Jasełka”. Teksty pisane specjalnie, z aluzjami i podtekstami

politycznymi, służyły pokrzepieniu serc. Schodziliśmy się na próby do domu prywatnego przy ul. Szpitalnej. Dom pamiętam, nazwisk nigdy nie znałam. Przedstawienia odbywały się w największym modernistycznym pokoju, w przedwojennej willi. Mieściło się tam około 20 osób i improwizowana scena.

Oboje z Julkiem umieliśmy nasze role i wiersze, ale przy próbach opanowaliśmy wszystkie inne teksty i we dwójkę potrafiliśmy odstawić całe przedstawienie. Do dzisiaj plączą się mi po głowie jakieś fragmenty. Dla przykładu: mała satyra na niemiecką biurokrację. Toczy się rozmowa: *…wiesz, gdzie drzewo wożą chłopy? – urzędników tam z pół kopy. Każdy jest potrzebny wielce. Jeden kłania się butelce, a gdy ujrzy na dnie pusto, bierze się za rybołóstwo. A gdy pogoda zawiedzie, siadł przed biurkiem po obiedzie i… najmilsza, najdroższa pani Wandeczko, pani moją jedyną sympatią.* A mój wierszyk zaczynał się od słów: *czy myślicie, że w lesie choinki nie będzie?*

Aktorką byłam marną, tylko wrodzona sumienność rekompensowała niedostatki talentu i pewnie tylko dlatego powierzano mi jakieś rólki. Zaowocowało to tym, że w dwa lata później sama zorganizowałam teatr podwórkowy u sąsiadów przy ul. Zamojskiej.

Układałam teksty nigdy nie napisane, uczyłam wymowy i gestów, żądałam dyscypliny, a wręcz posłuszeństwa, dobierałam role i

aktorów, urządzałam scenę i widownię oraz zapraszałam widzów.

_____

TERESA-ZOFIA FABIJAŃSKA-ŻURAWSKA, emerytowany starszy kustosz Muzeum-Zamku w Łańcucie, jest historykiem sztuki ze specjalnością w dziedzinie pojazdów konnych.

Wspomnienia Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej ukazują się w ostatni czwartek miesiąca.

Poprzednie części wspomnień:

> Z rodzinnego albumu. Stara szkoła.

> Z rodzinnego albumu. Wojna – ucieczka za Bug.

> Z rodzinnego albumu. Hrubieszów.

Polskie siedziby rodzinne. Czumów.

Historia w karetach zaklęta

Z rodzinnego albumu.

Stara szkoła.

Moja najbliższa rodzina (beze mnie) – tata, Julek, mama, Ela, w czerwonej sukience, później opisywanej, Jadzia Kosińska, Witek, ciocia Janka – siostra taty

Teresa Fabijańska-Żurawska *(Łańcut)*

Muszę wrócić do 1939 roku, gdy po wkroczeniu okupantów niemieckich, została bardzo szybko zorganizowana ich administracja. W listopadzie pozwolono na otwarcie szkoły podstawowej, wówczas zwanej powszechna. Obowiązywał nowy program nauczania, bez historii, bez geografii, bez literatury polskiej, z surowym zakazem korzystania z podręczników szkolnych wydanych przed wojną. Inspekcie kontrolne odbywały się często i znienacka. Nie jednego nauczyciela aresztowano, a może i zgładzono. Cóż więc pozostało? Ja, głupstwo, dopiero zaczynałam. Uczyłam się pisać, czytać, rachować, rysować i

śpiewać z panem Feliksem Szczudłowskim, przezywanym przez dzieci Felu-Kapelu. Przygrywał nam na skrzypcach i czynił to z wielką miłością. Biedny, chory był na gruźlicę. Moje starsze rodzeństwo, a zwłaszcza Ela i Witek będący w wieku gimnazjalnym, pozbawieni zostali w ogóle możliwości uczenia się. W małym miasteczku, jakim był wówczas Hrubieszów, trudno było o prywatne lekcje. Tajne komplety zaistniały dopiero później. Julek zaliczał jeszcze podstawówkę.

Chodziliśmy do tzw. „starej szkoły", którą był sympatyczny, drewniany, parterowy budynek dawnej plebani prawosławnej. Osiem dużych klas i przybudówka kuchenna, od frontu drewniany, otwarty ganek z ławeczkami i duże boisko ze skarpą, po której zimą zjeżdżało się na czym kto mógł. W dole założono przed wojną skwer z młodymi jeszcze roślinami i tędy szło się do kościoła szkolnego pod wezwaniem św. Stanisława Kostki, patrona młodzieży.

Starą szkołę pokochałam od pierwszego dnia i miło wspominam do dzisiaj. Pierwszą moją panią była urocza, młoda osoba, którą uwielbiałam i patrzyłam w jej ładną, kolorową buzię, jak w obrazek święty. Niestety nie pamiętam ani jej imienia, ani nazwiska.

Uczyliśmy się na raty. Klasy młodsze przychodziły później i kończyły, gdy było już ciemno na jesieni i zimą. Nie pamiętam, by

starsze rodzeństwo opiekowało się mną w tym trudnym, początkowym okresie. Raczej lekcji i zegara pilnował Oleś Du Chateau, starszy o dwa lata, przynajmniej jego pamiętam. Należałam raczej do zdyscyplinowanych z natury i chyba ambitnych i pracowitych. Problemów z nauką nie było, najwyższe noty z góry na dół. Katechetą był ksiądz Edward Dolecki, działacz konspiracyjny AK. Ofiarował swoje radio marki „ECHO" do nasłuchu Polskiej Służbie Informacyjnej BIP, co było wielką pomocą w uzyskiwaniu wiadomości. Dowiedziałam się o tym dużo później z książki – pracy zbiorowej p.t. „Łuny nad Huczwą i Bugiem", wyd. w Zamościu w 1992 r. Lekcje religii były wielką radością, a umiejętność zwracania się do dzieci była wielkim darem bożym. Ksiądz Dolecki przygotowywał nas do pierwszej Spowiedzi i Komunii Świętej. Pamiętam lekcje w kaplicy grobowej przy kościele św. Stanisława, gdzie wilgoć i ziąb przenikliwy wyłaził z grubych murów, nawet w ciepłe dni wiosenne. Czasem uczyliśmy się na cmentarzu przykościelnym, niegdyś grzebalnym. Kościół zbudowany pod koniec XVIII w. jako unicki pod wezwaniem św. Mikołaja został w XIX w. zamieniony przez władze carskie na cerkiew prawosławną, później rekoncyliowany i wreszcie stał się katolickim kościołem szkolnym, dzisiaj cieszący się cudownym obrazem Matki Bożej Sokalskiej.

O tym, że cmentarz był grzebalny i dużo starszy od kościoła świadczyć mogą sterczące w osuwisku od strony Huczwy kości,

którymi chłopcy rzucali w siebie, jak śnieżkami. Wiedziały o tym dzieci z naszej szkoły, stojącej po sąsiedzku. Miejsce usytuowania kościoła miało od wieków charakter szczególny, ze względu na ukształtowanie wysokiego brzegu rzeki. Był to najwyższy teren wyspy, na której powstał Hrubieszów, pierwotnie zwany Rubieszowem.

A więc niezwykła szkoła, w niezwykłym miejscu, z niezwykłą atmosferą, jakby fluidy czasu zawisły właśnie tu, zakumulowane, zawirowane wartkim nurtem Huczwy. Ale szkoła to przede wszystkim żyjący ludzie z całym swym bogactwem różnorodności charakterów, talentów, osobowości. Pierwsze koleżanki – przyjaciółki na następne lata, pierwsze porównania zdolności, umiejętności manualnych, kontrowersje myślenia, zachowań i reakcji, pierwsze zdziwienia i rozczarowania, ale i zachwyty. W drugiej klasie uczyliśmy się w przybudówce kuchennej. Była nieforemna, bez osi, z jednym małym oknem i drzwiami na wylot. Siedzieliśmy w ławkach drewnianych o pulpitowej konstrukcji blatu, u którego w prostej szczytowej znajdowały się dwie okrągłe dziury na kałamarze. Pod pulpitem półka na teczkę. Ławki były dwuosobowe, ale zsunięte po trzy w rzędzie. Tutaj siedziała zdecydowana większość dziewczynek. Pod oknem pojedynczy rząd dla chłopców. Zazdrościłyśmy im większej swobody. Zanim ta szósta przedarła się przez cały rząd, upływało trochę czasu. Czasem czułyśmy się zaklinowane.

Mama Eleonora Fabijańska wącha różę

Z całej klasy najbardziej podobała mi się Hania Skopińska, pierwsza przyjaciółka, której jestem wierna do dziś. Hania miała wtedy dwa grube, pszeniczne warkocze, jasnoróżową buzię i

śliczne białe zęby, które tak ładnie było widać w uśmiechu. Zimą nosiła robiony na drutach golf z melanżu biało-seledynowego, w którym buzia jej jeszcze bardziej piękniała. Poza tym Hania imponowała mi talentem. Szybko i bardzo pomysłowo rysowała papierowe lalki w różnych wielkościach i na każde zamówienie. Lalki nosiły kolorowe stroje, bereciki, kokardy, miały warkocze i wszystko, co mogło się podobać. Hania uczyła się grać na fortepianie i w ogóle była dziewczynką z dobrego domu. Z Hanią wolno mi było się przyjaźnić i bywać w jej domu. Państwo Skopińscy przybyli do Hrubieszowa chyba zza Buga. Początkowo zamieszkali w małym, typowo hrubieszowskim drewnianym domu z werandką od ulicy zwanej Podzamczem, blisko mostu. Szalowany deskami i malowany olejna farbą na kolor szaro-niebieski, stapiał się z zielenią sadu i ogródka od strony Huczwy. Jedne imieniny Hani odbyły się właśnie tam. Co podano w ten czas wojenny, nie pamiętam, chyba było kakao – zdobyty rarytas. Każde dziecko miało swoje miejsce, przeznaczone przez gospodarzy, jak nakazywał dawny, dworski obyczaj. Przed talerzem, na stole leżała karteczka z imieniem i nazwiskiem, ozdobiona przez Hanię kredkami i żywym kwiatkiem. Dotąd przechowuje ten skarb w szufladzie. Imieniny te zostały uwiecznione amatorskim zdjęciem, na którym dominuje ogromny, biały motyl nad głową solenizantki.

Piszę o tym, bo jest to świadectwo głębokich tradycji obyczajowych polskiej inteligencji i świadomość potrzeby

kultywowania piękna w życiu codziennym, mimo szarzyzny i niepewności jutra. Myślę, że takie chwile pomogły nam przetrwać najgorsze, bo zawsze było odniesienie do czegoś wzniosłego. Ogromnie dużo zawdzięczam Hani rodzicom. Nie krępowali nas swoją obecnością, a umiejętnie, z dala pozwalali nam na niecodzienne zabawy. Miałyśmy swoją pocztę, pisywałyśmy listy zaszyfrowane naszym, wyłącznym, jedynym językiem.

Trzecią papużką była córka lekarza, doktora Cieślaka, Marysia, o niesamowitych ogromnych zielonych oczach i wspaniałych warkoczach. Była błyskotliwa, oczytana (tak, tak, nawet w drugiej klasie szkoły podstawowej), inteligentna i grająca na fortepianie przy każdej okazji. Trzymałyśmy się we trzy do końca wojny. Potem obie ich rodziny wyjechały do Zamościa, my dopiero rok później.

Państwo Cieślakowie mieszkali w drewnianym domu, blisko cerkwi. Już nie istnieje ani ten dom, ani szaro-niebieski z gankiem. Brak szacunku dla obiektów zabytkowych w czasach PRL zniszczył charakter dawnego Hrubieszowa, który miał szansę stać się atrakcją turystyczną tego pięknego, bogatego w wydarzenia historyczne, regionu.

Doktorostwo Cieślakowie z Marysią i Markiem opuścili Hrubieszów, gdy okupacja jeszcze trwała. Państwo Skopińscy

przenieśli się do bardziej nowoczesnego domu, też drewnianego, ale z piętrem, gdzie mieli spore mieszkanie składające się z dużych trzech pokoi i kuchni, ze wspólną dużą łazienką. To już były luksusy. W tym domu bawiłyśmy się częściej niż u Marysi. Mimo okupacji chodziłam do szkoły regularnie, rok po roku. Z wyjątkiem ospy wietrznej i jakiś gryp, nie chorowałam. Rekordy bił u nas Julek, chorował na szkarlatynę, na tyfus, wiecznie na anginy. Witek natomiast dwa razy zaliczył kilkutygodniowe leżenie w szpitalu, raz na ślepą kiszkę (wyrostek robaczkowy), a raz miał złamana nogę przez własną nadmierną ruchliwość. W ogóle Witek naszej mamie przysparzał najwięcej emocji. Przepadał nie wiadomo gdzie i nie wiadomo jakie miał towarzystwo. Ale to on nas właściwie utrzymywał. Najpierw handlując nićmi przywożonymi z Warszawy, później legalnie, koncesyjnie prowadząc kiosk z papierosami, a potem pracował w magazynach jabłek. Potrafił upiec chleb, zdobyć mąkę, opał, naftę do lampy i wszystko co było potrzebne do przetrwania. Od początku wojny, od powrotu z naszej wędrówki na wschód, Witek, mający zaledwie 14 lat, poczuł się odpowiedzialny za całą rodzinę, nie tylko najbliższą.

Całe szczęście, że otwarto średnią szkołę, tzw. handlówkę, na potrzeby niemieckiej administracji, przygotowującej do pracy w biurach i w sklepach. Uczyli ci sami profesorowie, co przed wojną w gimnazjum. W ciągu dwóch lat uczyli się prowadzenia księgowości, umiejętności stenografowania, towaroznawstwa,

języka niemieckiego. Ela i Witek skończyli tę szkołę. Ela później dokształcała się we własnym zakresie, jednocześnie pracując w biurze Polskiego Czerwonego Krzyża, świetnie działającej placówce, prowadzonej przez doktora Władysława Kuczewskiego, dobroczyńcy tamtych czasów. Wspomniałam wcześniej o jego tragicznej, podstępnej śmierci z rąk „pacjenta", ukraińskiego nacjonalisty.

Nasza nauka nie była normalna, Niemcy utrudniali, jak tylko mogli. Często trzeba było zmieniać miejsce lekcji. Po zagładzie Żydów, uczyliśmy się w pożydowskich domach prywatnych, zimnych i zdewastowanych. Idąc do szkoły nigdy nie wiedziałam, gdzie będą lekcje, ale zawsze ktoś stał na czatach i dawał nam znać. To była konspiracja. A starsze rodzeństwo nie miało swojego przedwojennego budynku, więc uczyli się nawet w stodole. Jakoś nikt nie narzekał, a dzisiaj mamy co wspominać.

Lila i mama ze mną w Hrubieszowie na ulicy Staszica (w głębi widać pomnik) w 1938 r. (Eleonora Fabijańska, Teresa Fabijańska, Maria z Piątkowskich Wacławowa Banaszkiewiczowa)

Na wiosnę 1940 roku musieliśmy opuścić nasze mieszkanie w śródmieściu. Z trudem i z pomocą cioci Janki Kosińskiej znalazło się mieszkanie na Poberżanach. Tak nazywało się przedmieście w kierunku Zamościa, a ulica po dziś dzień nosi nazwę Zamojskiej. W piętrowym, nowym domu, jedynym murowanym wówczas w tej okolicy, mieliśmy dwa pokoje z kuchnią. W podwórzu była komórka na węgiel i sławojka. Przetrwaliśmy tutaj do powrotu ojca w 1945 roku.

Mieszkanie było sympatyczne, chociaż dla nas przymałe. Jak zwykle były też plusy, bo okoliczni gospodarze z ich ogrodami i płodami rolnymi pomogli nam przeżyć, ale gdy spojrzę egoistycznie, dla mnie była zbyt duża odległość do szkoły. I droga była niebezpieczna, nie było chodników, ani nawet poboczy. Trzeba było iść szosa, a to była droga wojsk okupacyjnych z Zamościa za Bug. Jeździły okropne czołgi, ciężarówki z żołnierzami niemieckimi, wozy pancerne kolumnami po kilkadziesiąt, bez przerwy, w dzień i w nocy. Najpierw koncentracja na linii Bugu w czerwcu 1941 r., potem stałe, niekończące się przejazdy, a pomiędzy nimi z trudem przedzierały się chłopskie wozy. Droga była szutrowana, ciężki transport powybijał dziury, które zawsze były pełne wody o błotnistej mazi. Ominąć je i nie zostać ochlapanym, to sztuka, której nauczyłam się z czasem. Po obu bokach drogi głębokie rowy zbierały mazistą wodę, ale w czas suchy nauczyłam się po rowach tych skakać, odbijając się zygzakiem. Najgorzej zimą szło

się w mróz siarczysty (w te wojenne lata zimy były srogie) pod drutami elektrycznymi. Każde zbliżenie do słupa natężało melodię denerwującą i groźną. Mówiło się wtedy: będzie mróz, bo druty grają. Dobrze się działo, gdy dobry gospodarz pozwalał dzieciom przysiąść na rozłożystych saniach. Wtedy strach mijał i droga szybko zeszła.

Na szczęście zimy miały swój koniec. Poberżany ze swoją zielenią, sadami przy domach, warzywnikami miały niepowtarzalny urok. Ludzie żyli zgodnie, solidarnie i z przyjaźnią. W każdym niemal podwórku miałam koleżanki, starsze lub rówieśniczki, z którymi organizowałam teatr podwórkowy, różne zabawy i wyczyny sportowe, m.in. moda przyszła na szczudła. Robiliśmy je sami z tyczek po fasoli. Nie umiem dzisiaj pojąć, jak mogliśmy na nich chodzić. Niewątpliwie dużą zapamiętaną atrakcją był cyrk. Nie wiem skąd przyjechał i chyba to było po 1941 roku. Rozbito go na wygonie – półokrągłym placu znajdującym się w połowie ulicy Zamojskiej, po lewej stronie idąc od miasta. Kacze doły, może z czasów działań I wojny światowej, świetnie nadawały się do zjazdów na sankach. Boże, co my wtedy wyprawialiśmy! To nie była normalna jazda, tylko wszystkie możliwe popisy. Ślizgawka na śluzie w czasie okupacji nie funkcjonowała, gdzieżby to było możliwe pod okiem Landrata, który rozgościł się we dworze Du Chateau, jak we własnej rezydencji. Pozostawały więc sanki i ewentualnie podtopione łąki pod lasem na ślizgawkę. Jednak to

już nie miało żadnego charakteru, ot pozamarzane mniejsze i większe kałuże. Przed wojną utrzymywane i czyszczone lodowisko ściągało towarzystwo. Przychodziły całe rodziny, młodzież gimnazjalna, która przy muzyce dawała popisy jazdy figurowej i holendrowania. Mama miała śliczny komplet z białej angory: golf, szal, czapka i spódniczka kroju podobnego do tych, ktore nosiły słynne łyżwiarki, np. Sonia Henni. Mama jeździła ładnie, tata jeździł zgrabnie, Ela holendrowała brawurowo trzymając się za ręce z dwoma kolegami. Bracia uczyli się, jeździli szybko wokoło lodowiska. Nawet ja miałam łyżewki na podwójnej płozie i ciągle się przewracałam. Tak już zostało, łyżwy nie były moją miłością.

Wróciłam miłym wspomnieniem do czasów wcześniejszych, ale muszę wrócić do okupacji. Chciałabym, aby moje wnuki zrozumiały i zapamiętały, że nie wolno najeżdżać innego kraju, nie wolno brutalnie włazić w czyjeś życie, nie wolno szydzić z innych ludzi, nie wolno wyśmiewać cudzej świętości, nie wolno zabijać, niszczyć życia.

Najgorszy był początek okupacji, rok 1939 i 1940 z bardzo mroźną zimą oraz 1944 i 1945 już bez wojsk niemieckich, za to z sowieckimi. To lata, które odcisnęły się w pamięci jako lata głodu, chłodu, świerzbu, wszy i odmrożonych kończyn. W latach tych nawet kartek żywnościowych nie było. Przydziały żywności dla ludności pozarolniczej przewidywały kaszę, nie pamiętam

jaką, okropną mąkę, ciemną i zanieczyszczoną, marmoladę z buraków, płynną, brązową melasę, wyglądającą jak klej stolarski, zastępującej cukier i dla dzieci pół litra mleka. Po te produkty stawało się w gigantycznych kolejkach na zmianę, bo trzeba było stać kilka godzin, właściwie bez żadnego pożytku, ale zrezygnować się nie dało.

Wielką pomocą do 1944 roku (później już władza ludowa zabrała) był nam Wiszniów Banaszkiewiczów, majątek ziemski niedaleko Hrubieszowa, gdzie mieszkała, córka cioci Niusi – Lila z Piątkowskich z rodziną. Tam na cmentarzu wiejskim pochowany jest mój dziadek ze strony mamy, Anzelm de Schmieden-Kowalski i jego najstarsza córka, ciocia Niusia, związana z Czumowem. Zwłaszcza w okresie, gdy babunia Mania była z nami, podrzucano nam prawdziwą mąkę, czasami kaszę. Kurczak i jakieś wiktuały spływały nam jak manna z nieba. Mama smażyła nam wtedy ulubione jabłka w cieście i placuszki na miodzie. Można było nawet upiec tort z fasoli, tzw. jaśka. Smakował niczym marcepan. W czasie świątecznym robiło się torty makowe bez cukru, cukierki z płatków owsianych i piło zamiast herbaty napar ze skórek jabłkowych. Tych na Poberżanach nigdy nie brakowało. Przyjmowało się gości sałatką jarzynową zwaną *vinaigrette*. Najwięcej było w niej buraków i kartofli oraz małej fasoli. Smakowała znakomicie.

TERESA-ZOFIA FABIJAŃSKA-ŻURAWSKA, emerytowany starszy kustosz Muzeum-Zamku w Łańcucie, jest historykiem sztuki ze specjalnością w dziedzinie pojazdów konnych.

Wspomnienia Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej w 2021 roku będą się ukazywać w ostatni czwartek miesiąca.

Poprzednie części wspomnień:

> Z rodzinnego albumu. Wojna – ucieczka za Bug.

> Z rodzinnego albumu. Hrubieszów.

> Polskie siedziby rodzinne. Czumów.

> Historia w karetach zaklęta

Z rodzinnego albumu. Wojna – ucieczka za Bug.

Teresa Fabijańska-Żurawska *(Łańcut)*

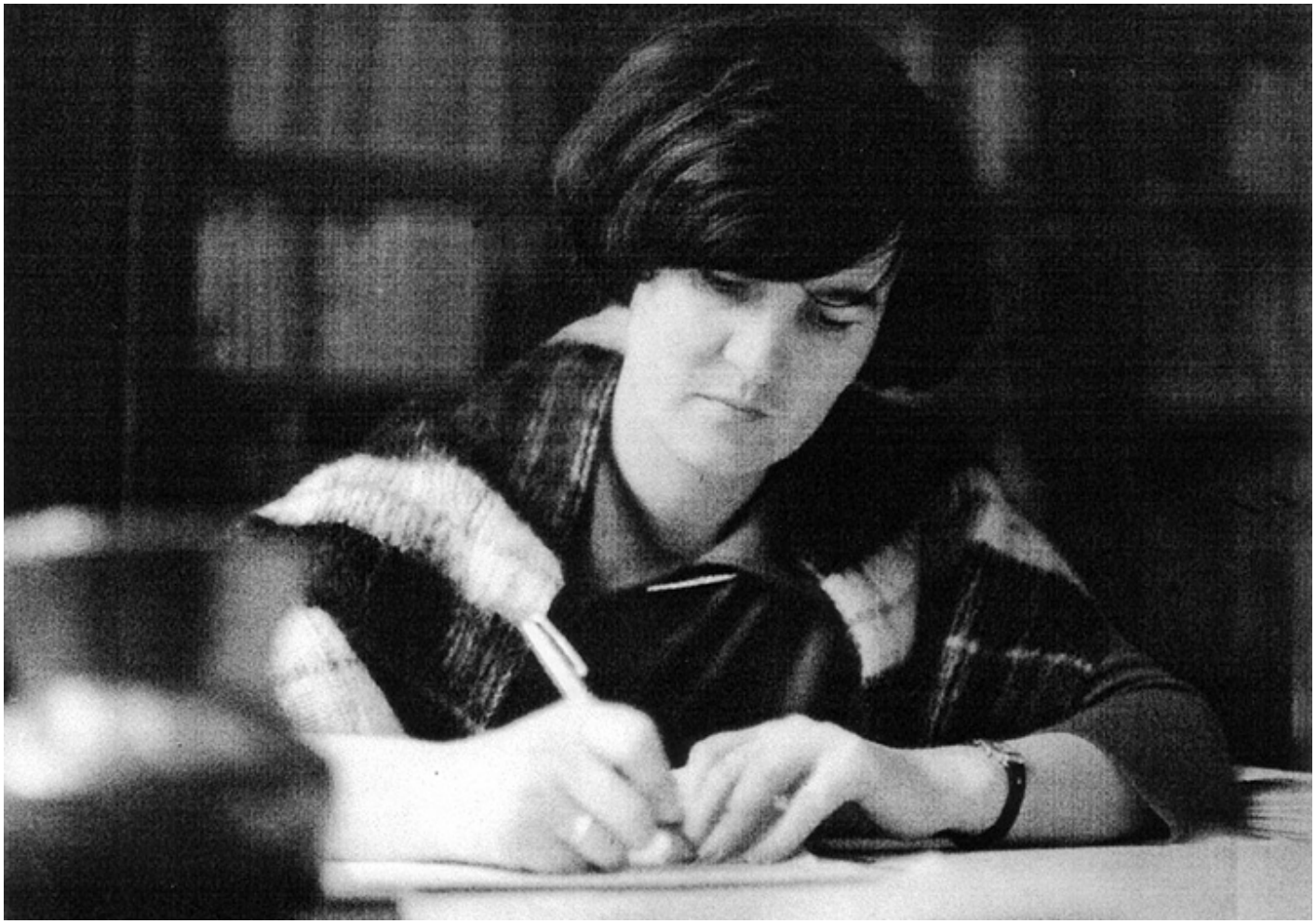

Teresa Fabijańska, fot. arch. autorki

Teraz my staliśmy się uciekinierami. Były ich tysiące. Drogi zamieniły się w rzeki ludzi. Tłok byt tak wielki, że niepodobna było jechać. Można było zatratować żywych, popychających się wzajemnie, walczących o swoje miejsca, o prawo do istnienia. W jakim tempie mogliśmy się posuwać końmi niech zobrazuje postać górala w sukiennych, białych spodniach paradnych haftowanych w parzenice, w białej koszuli z ciupagą przez ramię, w kapeluszu czarnym z muszelkami ku ozdobie szedł boso, a buty dyndały związane sznurowadłami na plecach. Piękna, wełniana gunia niedbale zwisała z ramienia. Mijaliśmy się co jakiś czas, to on nas wyprzedzał, to my jego. Przy każdym spotkaniu unosił

kapelusz do góry i pozdrawiał.

Ludzie taszczyli tobołki, ciągnęli bydło, wieźli na małych, dziecięcych wózeczkach wszelaki dobytek. Kto czym mógł jechał, kto co miał zabierał ze sobą na wschód. Posuwała się ta masa ludzka i zwierzęca nieuporządkowana, nie do opanowania, niebezpieczna sama dla siebie. Posuwaliśmy się powolutku szukając ciągle możliwej przestrzeni. Był upał, niebo bezchmurne, paliło słońce bezlitośnie i co chwilę przelatywały nad głowami samoloty, które ostrzeliwały się na naszych oczach, dymiły i spadały płonąc na domy i drzewa. Grozę i niebezpieczeństwo powiększały jeszcze salwy z karabinów maszynowych.Na drodze panował straszny hałas i zgiełk, ludzie się gubili, krzyczeli, nawoływali, przewracali i popychali. Strzelano z góry do moich braci, bo byli w rogatywkach harcerskich w kolorze wojskowym. Osłoną były nam stogi siana. Jakoś dotarliśmy do rzeki o nazwie Ługa pod Uściługiem. Most był zerwany, więc przebyliśmy ją wpław nie szukając brodu. Konie omal się nie potopiły, a bryczka zanurzyła się w wodzie. Jej skrzyniowa konstrukcja uratowała mnie przed wypadnięciem, ale i tak wszystko pływało: moja lalka, Eli komódka, braci znaczki nie mówiąc już o jedzeniu załadowanym na wóz. Po drugiej stronie Ługi trafiliśmy na świeże pobojowisko. Była tam potyczka polskich wojsk napadniętych przez miejscowych Ukraińców. Pole bitewne usłane było oskalpowanymi trupami Polaków, rozrzuconymi nabojami, granatami i szczątkami ludzi i

umundurowania. Musieliśmy przez to wszystko przejechać. To było straszne. Później zbieraliśmy naboje, całe załadowane magazynkami, pomagaliśmy polskim żołnierzom. Leżało tam dużo granatów ręcznych. Podniosłam jeden w kształcie gęsiego jaja o rowkowanych podziałach. Bardzo mi się podobał i chciałam się nim pobawić, ale Witek już był przy mnie i szeptem kazał mi to ostrożnie położyć. Ze strachem, ale posłusznie to uczyniłam. Podobno był odbezpieczony. Cud! Dotarliśmy wreszcie do Uściługa, ale naszej rodziny, cioci Irki Wołowskiej już tam nie było. Uciekła do Zarzecza.

Więc i my pojechaliśmy do Zarzecza, majątku dziadka Stefana Taczanowskiego, brata naszej babci ze strony taty. Ciocię Irkę znaleźliśmy w wykopanym w ogrodzie rowie wielkości pojedynczego grobu. Tuliła maleńką, dwutygodniową Madzię w beciku. Babcia z półtoraroczną Danisią usiłowała we dworze spełniać normalne, codzienne, domowe czynności sama, bez służby. Nie pamiętam czy nocowaliśmy we dworze, czy pojechaliśmy dalej. Zapamiętałam szerokie plenery Wołynia, kopy siana na polach, może były to stogi koniczyny i sterty słomy, pod którymi chroniliśmy się dla odpoczynku. Nie wiem ile dni jechaliśmy i kiedy znaleźliśmy się w Biskupicach (lub Biskupiczach wg Aftanazego) należących wówczas do hr. Kaszyckiego, gdzie był nocleg w kącie dworskiej oficyny, pokotem na słomie. Karmiło nas wojsko polskie swoimi konserwami z grochówką i wieprzowiną. Biegaliśmy z braćmi

oglądać zestrzelony polski samolot „Karaś”. Właziliśmy do środka i nawet chłopcy zdobyli pierwsze i chyba jedyne trofeum wojenne. Była to mała lampka, a raczej szkiełko przykrywające, czerwone i wypukłe, wielkości orzecha włoskiego. Długo przewracało się w szufladce z rupieciami maminego biurka, teraz jest u Julka. Wszystko to, co się działo wokół nas było ogromnie interesujące i niezwykłe. Nie potrafiliśmy dzielić niepokoju matki i babki. W Biskupicach zamieszkaliśmy później w pałacu i byliśmy oprowadzani po pięknych ogrodach, gdzie hodowano nadzwyczajne gatunki róż oraz szparagi. Ogrodnik szczycił się wyhodowaniem odmiany tzw. czarnej róży, rzeczywiście była bardzo ciemnoczerwona. To wtedy, tam, w Biskupicach z rąk nobliwego dżentelmena (nie wiem kto to był) dostałam pierwszy kwiat w moim życiu – pąsową, pachnącą, cudowną różę.

Małżeństwo Eleonora i Józef Fabijańscy (mama i tata) w oczekiwaniu na potomka, moją starszą siostrę Elę, u cioci Helenki w Lublinie, 1924 r.

Dlaczego zawędrowaliśmy aż do Biskupic? – dlaczego nie do Zarzecza? – nie wiem. I nie chcę pytać rodzeństwa, zresztą, pewnie też nie wiedzą. Piszę swoje wspomnienia, to co zapamiętałam jako niespełna siedmioletnie dziecko. Szkoda, że nie zapamiętałam co mi się śniło, gdy spałam jedną noc w bryczce (o tym po latach powiedział mi brat Julek). To piękny i fascynujący przyczynek do życiorysu – gorąca noc pod wygwieżdżonym niebem we wrześniu 1939 roku na Wołyniu. W

mej pamięci to biała plama, ale może symbolicznie związana z późniejszym zawodowym życiem?

Po kilku dniach spędzonych w kwitnącym majątku, zapadła decyzja powrotu przez Włodzimierz Wołyński, gdzie mieszkała ciocia Janka, siostra taty z mężem, córką i matką. Był to już 18 września i wojska sowieckie nie wpuszczały nikogo do miasta. Witek, sprytny chłopak, przedarł się sam wykorzystując moment nieuwagi, a może łagodność i wyrozumiałość żołnierza. Dotarł, powiedział, że wracamy do Hrubieszowa i żebyśmy czym prędzej opuściły Włodzimierz.

Wróciliśmy szczęśliwie do siebie dzięki zaistniałej sytuacji, gdy Niemcy już byli, ale cofnęli się z Hrubieszowa, a Sowieci jeszcze nie doszli. W tym krótkim okresie kilku dni miasto było w polskich rękach.

Niestety, nasze mieszkanie zastaliśmy splądrowane, rozgrabione i w rozgardiaszu. Stały ogołocone ze wszystkiego meble i walały się puszki po konserwach niemieckich, wojskowych, a na stole pozostały butelki po winie, w których mama przygotowała sodę na maseczki przeciwgazowe. Wszystkie bowiem kobiety zostały przeszkolone na wypadek wojny i mama zrobiła duży zapas dla całej rodziny tego płynu, przecież nie do picia. Myślę, że skutki działania sody w żołądku żołnierze zapamiętali na całe życie.

***

Siedziałam na biurku mamy i patrzyłam przez okno jadalnego pokoju wychodzące na reprezentacyjny podjazd z okrągłym klombem kwiatowym i strzyżonym trawnikiem. Widać stąd było część ogrodu ze srebrnymi świerkami i szpalerem grabowym, krzewami magnolii i berberysu. Od ulicy oddzielało murowane ogrodzenie o żeliwnych sztachetach i takaż brama o dwu skrzydłach gościnnie otwartych. Szereg starych drzew jesionów i kasztanowców do dzisiaj jeszcze mówi o ważności tego dworu. Spod portyku było wejście do apteki i ludzie ciągle wchodzili i wychodzili. Szałwia się czerwieniła, aksamitki złociły, tylko trawa nie zawsze miała czystość i soczystość zieleni. Przerastał ją gęsto ptasi rdest, mniszek lekarski i babka lancetowata. Zwłaszcza ptasi rdest lubił sobie pohulać i wszędzie było go pełno.

To okno było moim ulubionym miejscem, zwłaszcza, że pod biurkiem, z mnóstwem ciekawych szuflad, było mieszkanie dla lalek. Teraz wszystkie uchwyty od szuflad były wyrwane, zameczki tudzież i tylko jedna szuflada nie została otwarta przez złodziei. Mama mówiła, że to cud. Właśnie w niej przechowywała biżuterię i w szkatułce relikwię – pamiątkę z pielgrzymki do Rzymu w 1925 roku. Tą świętością był gwóźdź ręcznej roboty, wykonany na wzór tych, którymi przybito Chrystusa do krzyża. Dokument po łacinie objaśniał i zaświadczał, że został potarty o prawdziwy, Chrystusowy. Mama owinęła go w jedwabną

chusteczkę i tylko czasem nam pokazywała. Fakt – tylko ta szuflada nie została zbeszczeszczona. Relikwię tę przechowuję ze czcią i przekażę któremuś z wnucząt.

Rodzina Fabijańskich w ogrodzie. Tata Józef, Witek, Ela, Julek, ja, mama Eleonora, Zamość 1936 r.

Po naszym powrocie przybyło polskie wojsko i rozłożyło się taborem w parku. Stały namioty, żołnierze jakby na luzie, a jednak czuwali – siedzieli na trawie, chodzili. W pewnym momencie w bramę wjechał kałmuk na małym, zwrotnym koniu. Miał na sobie szynel wojskowy z wiszącymi strzępami, które

zwisały dołem, jak frędzle, na sznurku zwisał bagnet, na głowie barankowa, kozacka (?) czapa typu papacha. Miał twarz azjaty, o wydatnych kościach policzkowych, płaskim, szerokim nosie i szparkowatych oczach. Miał w ręku pistolet, nagan rosyjski. Wyciągnął prawą rękę w górę i każąco krzyknął – „Ruki w wierch”! – Zaskoczeni żołnierze podnieśli się niepewnie i powoli unieśli ręce do góry na znak poddania się. Widać było osłupienie i przerażenie na twarzach. Może spodziewali się raczej Niemców, przecież z Sowietami nie mogli walczyć, bo taki był rozkaz Rydza-Śmigłego. Za kałmukiem wpadła cała horda dzikusów, którzy rozbrajali Polaków, zdzierali im naramienniki z dystynkcjami, deptali po nich, a odebrane karabiny kazali składać w kozły. Wszystkich Polaków wzięto do sowieckiej niewoli. Pierwszy obóz w Hrubieszowie zorganizowano na dziedzińcu szkół powszechnych, które mieściły się w ogromnym nowym budynku, daleko za mostem Chełmskim, w pobliżu przedwojennych koszar. Chodziłam tam cały rok do szkoły już po tzw. wyzwoleniu w 1944/1945 r.

Do dzisiaj prześladują mnie koszmarne sny związane z drogą, którą musiałam codziennie pokonywać, idąc na skróty dobrych parę kilometrów. Zawsze tam wiało, zwłaszcza na moście, a w czerwcu niemiłosierna spiekota. Niepotrafiła mi tego wynagrodzić malownicza Huczwa, do której od strony ulicy Kilińskiego schodziły pasami ogrody pełne zarośli, pochyłych drzew wierzbowych, kąpiących się malowniczo w wodzie, na

której kołysały się tu i tam małe czółna przywiązane linkami do drewnianych słupów i pomostów niczym w Wenecji. To do dziś bardzo piękny zakątek. Ulica Kilińskiego ma miękkość łuku, powtarzając zakole Huczwy. Od frontu domy przeważnie drewniane, stare, z ganeczkami i ogródki kwiatowe, za domami zieleń sadów schodzących aż do rzeki. Nie wiem doprawdy dlaczego w moich snach jest coś lękliwego, zwłaszcza w tym pokonywaniu mostu. – Tak często mi się śni…

Wspomnienia Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej w 2021 roku będą się ukazywać w ostatni czwartek miesiąca.

Poprzednie części wspomnień:

> Z rodzinnego albumu. Zamość.

> Z rodzinnego albumu. Hrubieszów.

> Polskie siedziby rodzinne. Czumów.

Wywiad:

> Historia w karetach zaklęta

TERESA ZOFIA FABIAŃSKA-ŻURAWSKA *ur. 30 września 1932 r. w Zamościu, w Polsce, emerytowany starszy kustosz Muzeum-Zamku w Łańcucie, jest historykiem sztuki ze specjalnością w dziedzinie pojazdów konnych. W 1956 r. ukończyła studia Historii Sztuki na Wydziale Humanistycznym Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego /KUL/ otrzymując tytuł magistra. Doktoryzowała się w Warszawie w Instytucie Sztuki Polskiej Akademii Nauk uzyskując tytuł doktora nauk humanistycznych w 1982 r. W latach 1963-1994 pracowała w Muzeum-Zamku w Łańcucie kierując Działem Pojazdów Konnych. W latach 1984-1987 wykładała na Katolickim Uniwersytecie w Lublinie. Były to wykłady monograficzne z zakresu historii pojazdu zaprzęgowego, jego miejsca w kulturze, sztuce i obyczajach. Słuchaczami byli studenci Historii Sztuki – III-V roku studiów. Podczas wielu lat pracy w Muzeum organizowała wystawy na terenie Polski i w samym Łańcucie, prowadziła działalność popularyzatorską i dydaktyczną. Napisała i opublikowała 36 książek i artykułów związanych z dziedziną pojazdów konnych, innych publikacji ponad 100. Od 1965-1993 roku brała czynny udział w konferencjach Międzynarodowego*

Stowarzyszenia Muzeów Transportu /IATM/ przy ICOM /International Council of Museums/ reprezentując Polskę i Łańcut, wygłaszając referaty o polskich zbiorach muzealnych, problemach konserwatorskich dotyczących różnych eksponatów np. kolaski polskiej z XVIII w., na temat rekonstrukcji karet Jana III Sobieskiego i w pracach dydaktycznych w muzeach. Wszystkie wygłoszone referaty zostały opublikowane w roczniku Stowarzyszenia IATM pt. „Yhe transport Museums", miejsca gdzie odbyły się te konferencje to: Budapeszt, Frankfurt/M, Paryż, Praga, Waszyngton. Dla pogłębienia wiedzy wyjeżdżała na stypendia do Francji, Portugalii, Włoch oraz do Belgii, Holandii, Anglii, Niemiec, Austrii, Szwajcarii, Danii, Szwecji, USA, Rosji, do Czech i na Węgry, służbowo lub prywatnie, zapoznając się tam z muzeami państwowymi i kolekcjami prywatnymi dotyczącymi pojazdów konnych, obyczajów i etykiety dworskiej i dyplomatycznej. W Paryżu, pod patronatem Sorbony odbywała badania i poszukiwania archiwalne, poznawała kolekcje i biblioteki m.in. słynne zbiory „Hermesa" przy Faubourg St. Honore i Compliegne poza Paryżem. Stale kontynuuje kontakty profesjonalne, publikuje, opracowuje i popularyzuje.